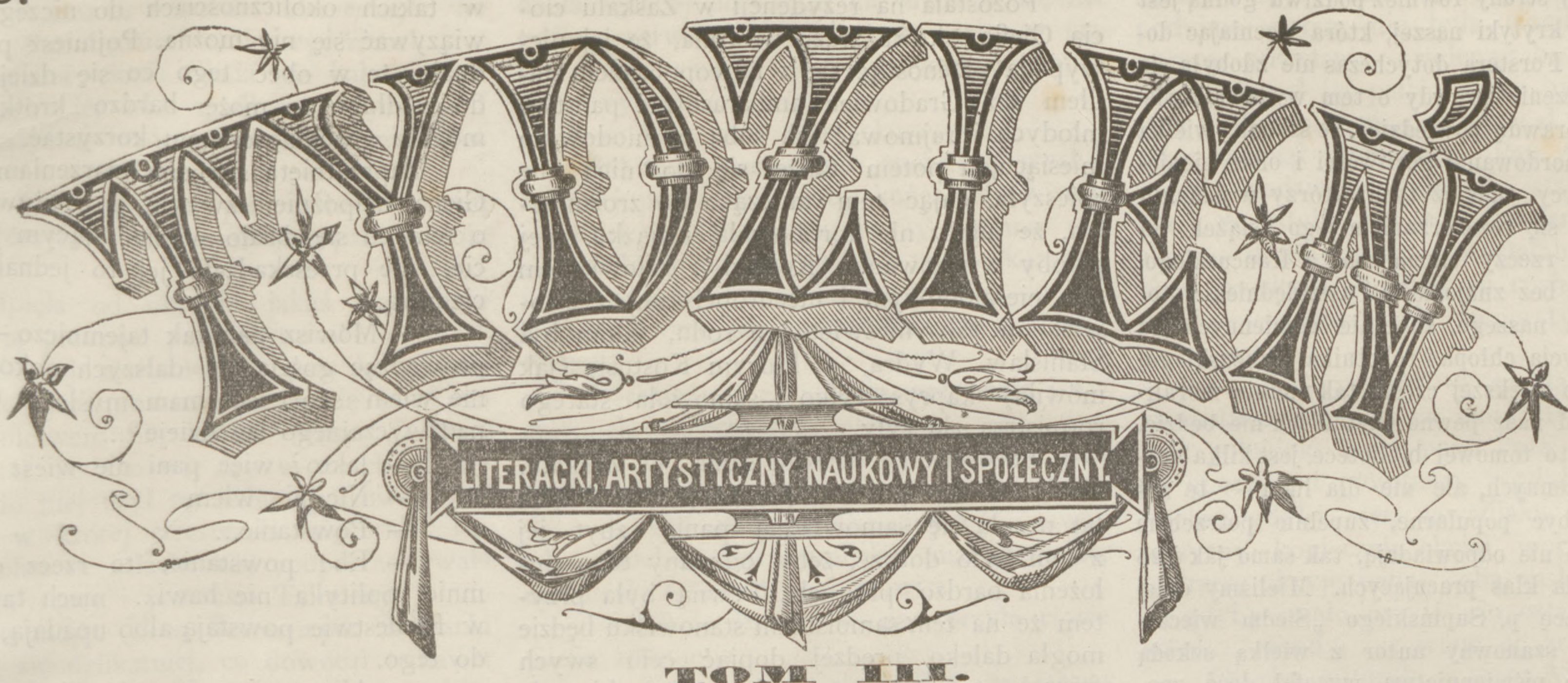
Nr. 9. Lwów, Niedziela dnia 27. Lutego 1876 r. **Rok III.**



TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

VIII.

Wydawnictwo dziełek ludowych.

II. Dobór przedmiotu — sposób opracowania go — zewnętrzna wreszcie forma książki ludowej, rozstrzygają o jej użyteczności i pokupności, i nad temi też warunkami powodzenia wydawnictwa mamy się obecnie zastanowić.

Do niedawna jeszcze w wydawnictwach ludowych szczególniej w Galicji przeważał kierunek religijny i patrjotyczny, przeważał jednostronnie i naszem zdaniem bez istotnego dla ludu pożytku. Nie chcemy ani jednego ani drugiego z wydawnictw ludowych wykluczać — ale chodzi nam z jednej strony o to, aby te kierunki nie przeważały z uszczerbkiem dla innych, równie ważnych, równie dla ludu potrzebnych, z drugiej zaś o sposób, o metodę traktowania rzeczy. Lud nasz lubi książki religijne, szczególniej gdy są ilustrowane. Ale gdy się zważy, że naukę religji słyszy on co niedzielę i święto w kościele i cerkwi, to oczywiście tem samem potrzeba ogłaszania religijnych książek dla ludu znacznie się zmniejsza. Niech więc one mają cel przedewszystkiem moralny, niech to będą n. p. żywoty świętych, ale świętych czynami, pracą, poświęceniem, lecz nie zimnym, suchym ascetyzmem. Niech uczą, ale nie fanatyzują — niech dają prawdy moralne, ale niech nie obudzają pogardy dla innych wyznań, jakiemikolwiekby one były. Niech prawda z nich tryskająca będzie z życia i dla życia, bo pamiętajmy, że piszemy dziełka ludowie nie dla kandydatów na świętych, nie dla pustelników, ale dla ludu, który prawdy moralne ma w codziennem a bardzo dla niego smutnem i trudnem życiu stosować, a żyje wśród okoliczności, które zatratę tych prawd aż nazbyt ułatwiają.

Co do kierunku patrjotycznego, twierdzimy stanowczo, że o ile on by miał cechę bezpośredniej propagandy, chybi zupełnie celu, szczególniej u ludu wiejskiego w Galicji wschodniej. Tradycja Polski u niego nie istnieje prawie, a nazbyt często widzi on ją w świetle tak wstrętnem, w jakiem mu ją przedstawiali propagatorowie wrogich narodowi naszemu dążeń, którym niestety nazbyt wolne do działania zostawiliśmy pole. Słowa „ojczyzna“ nie rozumie on— jest ono dla niego po większej części pustym dźwiękiem. Żebyśmy mu codzień prawili o „kochanej ojczyźnie naszej“ — o obowiązku miłości ojczyzny, o ofiarach dla niej i t. p. on tego nie zrozumie. Jedyne co mu dać można w tym kierunku, są to historyczne opowiadania, ale bardzo umiejętnie opracowane, z wielką ostrożnością w doborze przedmiotu — opowiadania pozbawione zupełnie cechy bezpośredniej propagandy, chociaż nie pozbawione przewodniej myśli, któraby z całości się dobywała.

Mówiliśmy powyżej o moralnych potrzebach naszego ludu. Zaprzeczyć się nie da, że pod względem moralnym stoi on bardzo nisko, i dalekim jest od owej jasnej, czystej prostoty, w jakiej go sobie zazwyczaj wyobrażamy. Dzikości tam wiele — bardzo wiele egoizmu — bardzo mało wyższych szlachetnych uczuć — w stosunkach sąsiedzkich zbyt często zawiść i nierzetelność — w stosunkach gminnych i obywatelskich brak poczucia obowiązków publicznych. Przeciw tym ujemnym stronom ludu naszego działać powinien każdy, ktokolwiek z nim zetknąć się może, działać powinna szkoła i kościół, wszelkie instytucje publiczne, które bezpośrednio ludu dotyczą— w piśmiennictwie zaś ludowem powieść. Tu znowu moglibyśmy zrobić zarzut powiastkom, jakie się w pismach ludowych pojawiały. Chcąc silnie zadziałać, przedstawiano w nich albo ideały cnoty, albo też monstra zbrodni. Na jedno i drugie chłop nasz pokiwa głową tylko i nie odniesie wrażenia. On takich ludzi nie widział— on nie ma w swej wiosce ani świętych, ani Franciszków Moorów — jedno i drugie wyda mu się nieprawdopodobnem. Niech więc w powieści ludowej działają **ludzie**, tacy jakich chłop nasz codziennie widzi, z dobremi ich i złemi stronami. Niech się tam ścierają zwykłe, codzienne popędy i namiętności ludzkie; niech się ściera żywioł dobry ze złym, ale ani jeden ani drugi nie doprowadzony do ideału. Idealnie dobre wzory wydadzą się czytającemu nie do osiągnięcia — monstra zaś moralne czasem swą jaskrawością pociągną. Wszak zdarzały się wypadki czynów zbrodniczych popełnionych bezpośrednio po widoku tracenia zbrodniarza! Co do sposobu zaś wyprowadzenia moralnej prawdy z powieści, niech nagroda lub kara będzie koniecznym, naturalnym skutkiem dobrego lub złego uczynku. Gdy zbrodniarza w powieści swej ukarzesz piorunem lub nieurodzajem lub powodzią, kara może łatwo w umyśle czytającego przybrać cechę przypadku tylko, ale nie koniecznego skutku zbrodni — tak samo jak wynagrodzenie cnoty przez jakieś podobne nadzwyczajne zdarzenie. Ale jeżeli ta kara lub nagroda okaże się zupełnie naturalnem i nieuniknionem następstwem zbrodni, jeżeli one będą tak przedstawione, że czytający może nawet w własnej gminie swej podobne przykłady miał już przed oczyma, jeżeli to wszystko danem mu będzie w formie powabnej i do czytania zachęcającej — niepodobna aby powieść taka pozostała bez wpływu. Jako wzór takich powieści zalecić możemy Auerbacha „Dorfgeschichten.“ W polskiem piśmiennictwie ludowem nie spotkaliśmy się z niczem, coby dorównać im mogło prostotą, naturalnością, prawdą, a zarazem tak uczuciowem i silnem traktowaniem przedmiotu, tak silnie z niego tryskającą moralną prawdą, bez zbytniego moralizowania. Kto wie, czy te powiastki Auerbacha, chociaż tak specyficznie niemieckie, nie dałyby się do **przerobić** na język polski, oczywiście z zastosowaniem do zwyczajów i stosunków naszego ludu. W każdym razie, gdyby kto chciał powieści dla ludu naszego pisać, niech przestudjuje dokładnie te powiastki, niech się przejmie ich metodą i duchem, zanim weźmie się do pracy, która na tem studjum niewątpliwie tylko zyskać może.

Z tym działem moralnym wiążą się dość blisko dziełka ekonomiczne dla ludu. Pod tym względem literatura nasza ludowa jest bardzo ubogą. Mamy wprawdzie p. Karola Forstera 20 tomową bibljotekę nauk moralnych i politycznych (ekonomicznych) tudzież jego 25 książeczek dla klas pracujących. Ale jak z jednej strony podziwiać musimy wytrwałość i ofiarność wydawcy,

tak z drugiej strony również podziwu godną jest pobłażliwość krytyki naszej, która oceniając dobre chęci p. Forstera dotychczas nie zdobyła się na wypowiedzenie prawdy o tem wydawnictwie. Czas już zaprawdę powiedzieć, że szkoda, wielka szkoda niezmordowanej gorliwości i ofiar pieniężnych wydawcy, tudzież tych, którzy w uznaniu tego zajmują się rozszerzaniem jego książek. Są to wszystkie rzeczy tłumaczone z francuskiego, bez odmiany, bez znajomości i uwzględnienia stosunków ludu naszego, zupełnie odmiennych od warunków życia chłopa i robotnika francuskiego, a przytem po większej części tak nudnie moralizujące, że lud nasz pewno czytać ich nie będzie. W dwudziesto tomowej bibljotece jest kilka rzeczy bardzo cennych, ale nie dla ludu — te zaś które mają być popularne, zupełnie potrzebom ludu naszego nie odpowiadają, tak samo jak i 25 książeczek dla klas pracujących. Mieliśmy dalej wyborną pracę p. Supińskiego „Siedm wieczorów“ — ale szanowny autor z wielką szkodą dla ludowego piśmiennictwa wycofał dość znaczny jeszcze zapas taniej edycji tego dziełka z obiegu, i wcielił tę pracę do zbiorowego wydawnictwa dzieł swoich, już dla samej ceny nieprzystępnego ludowi. Byłoby bardzo do życzenia, żeby reszta popularnego wydania poszła w obieg a po wyczerpaniu należałoby koniecznie o drugim nakładzie pomyśleć.

Ten dział ekonomiczny wiążemy dla tego z moralnym, ponieważ są pewne prawdy moralne, które z ekonomicznego punktu widzenia wzięte, o wiele silniej przemówią do umysłu ludu, aniżeli przy czysto etycznem ich traktowaniu. Oszczędność w przeciwstawieniu z jednej strony do zbytku, a z drugiej do skąpstwa, pracowitość, trzeźwość, liczenie na własną siłę i pracę a nie na przypadek, solidarność interesu jednostki z interesem gminy i narodu, oto są zasady etyczne, które z ekonomicznych dziełek ludowych wypływać mogą i powinne. Jeżeli dziełka te nie będą się zapuszczać w teoretyczne wywody, ale ściśle praktycznie i z życiem przedmiot będą traktować — można przez nie na moralną i na ekonomiczną stronę życia naszego ludu bardzo korzystnie wpłynąć.

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ DRUGA.

Partyzanci.

X.

Znany nam dobrze z pierwszej części tej powieści dwór w Zaskalu nie został opustoszony, pomimo że zeń do oddalonych podsyberyjskich gubernij wywieziono poczciwego rotmistrza, pomimo że Stanisław i Konstancja, połączeni węzłem małżeństwa, uznali za stosowne opuścić go dla tem większego uprawdopodobnienia mniemanej sprzedaży tej posiadłości panu marszałkowi Szóstackiemu, i przenieść się do Gradowiec, gdzie zresztą Stanisław czuł się samodzielniejszym i uważał, że jest bardziej do działań w sprawie narodowej potrzebnym.

Pozostała na rezydencji w Zaskalu ciocia Giefia, która zrazu uważała, że jej niewypada przenosząc się z nowopobranem stadłem do Gradowiec ambarasować państwa młodych i zajmować ich sobą w miodowym miesiącu, a potem także się do nich nie spieszyła, dając tem milcząco do zrozumienia, że nigdy nie aprobowała związku swej jakoby wychowanki Kostusi, z człowiekiem tak niesalonowym i nieeuropejskim, z człowiekiem tak nieświetnego rodu, jakim był Stanisław Wydra, z którym Kostusię (jak mówiła) kaprys tylko i samowola starego rotmistrza złączyły.

Pozostawszy zresztą sama w Zaskalu, ciocia Giefia po raz pierwszy od długich lat uczuła się samowładną panią i zbyt jej z tem było dobrze, żeby odmiany tego położenia bardzo pragnęła. Pewną była przytem że na tem samoistnem stanowisku będzie mogła daleko prędzej dopiąć celu swych marzeń, to jest wstąpienia w związki małżeńskie po raz czwarty, nie mając przy sobie tak niebezpiecznej pięknością i majątkiem rywalki, jaką była wnuczka rotmistrza.

Marzenia cioci Giefi nie spełniały się jednak. Konkurenci rojami nie zjeżdżali się do Zaskala, jakby się zmówili z sobą, żeby jej dwudziestoletnie wdowieństwo po nieboszczyku Wieluńskim wdowieństwem dozgonnem pozostawić. Do fenomenów nawet należały w ogóle odwidziny mężczyzn w Zaskalu, a zwłaszcza mężczyzn z nikim jeszcze węzłami sakramentalnemi nie połączonych, może dlatego, że ciocia Giefia, zostawszy samowładną panią, z każdej męskiej wizyty daleko śmielsze niż poprzednio snuła prognostyki i postępowała tak, że odwidzający nie mógł się nie domyślać, że te prognostyki istniały.

Gdy więc ciocia Giefia ujrzała powóz pana Artura zbliżający się do Zaskala, serce jej, mimo trzech małżonków dochowane w nieskalanem panieństwie, zaczęło w szybszem daleko tempie wykonywać swoje zwykłe *staccato*. Któż na jej miejscu mógłby wątpić, że ten powóz wiezie do niej od dwóch dziesiątków lat oczekiwanego królewica?...

Gdy poznała, że to pan Artur, nie dała jeszcze za wygraną przeczuciu — któż mógł być pewnym czy syn pana marszałka, jako człowiek salonowy i europejski, nie zamierza jej, jako salonowej i z europejskim ułożeniem niewieście, dać pierwszeństwa przed parafiankami, bogatszemi może i piękniejszemi, ale przecież nie takiemi z któremiby się można przed salonem i przed Europą poszczycić.

Ciocia Giefia wybiegła aż na ganek, ażeby powitać tak rzadkiego i tak niespodziewanego gościa. Mogła to uczynić tem łatwiej, że spodziewając się zawsze iż kiedyś taki niespodziewany gość się pojawi, była codziennie od rana aż do nocy pod względem tualetowym na jego przyjęcie gotową.

— Co za fenomen — zawołała — że pan przepomnieć sobie raczył o pustelnicy zaskalskiej!... Ale kiedy mam pana raz, to nie wypuszczę tak łatwo... zostaniesz pan na śniadaniu i na objadku... i jeszcze dłużej, i jeszcze... wszak prawda?...

— Być może — odpowiedział pan Artur — nie zobowiązuję się na pewno... w takich okolicznościach do niczego zobowiązywać się nie można. Pojmiesz pani jednak, że w obec tego co się dzieje, może dość długo, a może bardzo krótko będę mógł z gościnności pani korzystać.

Zaprzątnięta swojemi marzeniami ciocia Giefia najpóźniej zwykle dowiadywała się o tem co się działo w otaczającym ją świecie, nie przeszkadzało jej to jednakże być ciekawą.

— Mówisz pan tak tajemniczo — rzekła prowadząc gościa do dalszych pokoi — że nie wiem sama co mam myśleć. Cóż tak nadzwyczajnego się dzieje?...

— Jakto? więc pani nie wiesz nic?

— Nic nie wiem.

— Powstanie...

— Eh! powstanie, to rzecz daleka... mnie polityka nie bawi... niech tam sobie w Królestwie powstają albo upadają, co nam do tego.

— Ależ powstanie wybuchło już u nas...

— U nas?... gdzie?...

— Zdaje mi się że partyzanci już zawojowali Gradowce.

— Gradowce?... ależ to niepodobna!...

— Cała okolica w płomieniach... spotkałem się z oddziałem kawalerji ciągnącym z Zahajpolszczyzny... gdybym był nie miał przy sobie tego świstka, byliby mnie może powiesili.

— Ależ pan żartujesz!

— Nie żartuję, pani.

— *Mais c'est de la bêtise*, jak mawiał mój niaboszczyk szambelan.

— Gorzej pani szambelanowo, *c'est une calamité*, jakby powiedział mój ojciec marszałek i jak powiedzieć musi każdy człowiek z głową na karku.

— To prawda, *c'est une calamité!* — powtórzyła ciocia Giefia i rozpaczliwie załamała ręce.

Ale niedługo trwała jej rozpaczna zaduma. Umysł jej nie był tak uorganizowanym, żeby czemkolwiek mógł się martwić długo.

— I że ja też od razu na tę myśl nie wpadłam!—zawołała z trzpiotowatością wcale nie wyglądającą na bezpośredni wynik owej rozpaczliwej zadumy — każę dziś rano wołać Harasyma, nie ma go, poszedł w nocy do Gradowiec i nie powrócił... każę wołać Prokopa, toż samo. To oni do powstańców poszli niezawodnie! *C'est une calamité*, słusznie pan marszałkowicz powiada, co ja teraz bez nich w gospodarstwie będę robiła, gdzie tu ludzi w takich czasach dostać naprędce?...

— *C'est plus qu'une calamité*, — zawołał kamerjunkier — *lorsque la populace s'en mêle, nous aurons une* rzeź humańska!...

— *Nous aurons une* rzeź humańska!— powtórzyła jak echo ciocia Giefia, załamując powtórnie ręce.

I znów rozpacz nie trwała długo, znowu po chwili w umyśle poczciwej szambelanowej zaświtały uspakajające myśli.

— Ale to nic — szczebiotała siląc się na wdzięk i naturalną zalotność siedemnastoletniego dziewczęcia — ale to nic, *c'est de la bêtise*, jak mawiał mój nieboszczyk szambelan. Kiedy pana mam przy sobie, to się nietylko powstania ale nawet piekła nie boję. Wiem że przy panu włos mi z głowy nie

spadnie, *fussent-ils même des atropophages, les insurgés..* Pan będziesz moim rycerzem!...

Kochana ciocia Giefia nie bała się tak bardzo żeby jej włos spadł z głowy, bo pod tym względem nadzwyczaj mało miała już do stracenia podobno.

— Tak, będziesz pan moim rycerzem — powtórzyła — ot, przystrajam pana w moje kolory.

Odpięła od ubrania jakąś kokardę i chciała ją przypiąć panu Arturowi.

Całe jej szczęście, że pan Artur, jako człowiek dystyngowany, wcale się polskiem piśmiennictwem nie bawił: *Pana Tadeusza* nie czytał, bo kto wie czy w tej chwili nie byłby do niej użył tej jednowyrazowej apostrofy, w której streszczała się cała replika bohatera szlacheckiej epopei na gwałtowne wyrzuty i pretensje Telimeny.

Nie znając *Pana Tadeusza* pan Szóstacki wyraził się delikatniej, co dowodzi że nawet nieznajomość arcydzieł na coś dobrego kiedyś komuś wyjść może.

— Porzućmy te dzieciństwa, pani szambelanowo — rzekł z powagą, usuwając rękę cioci Giefi z kokardą — okoliczności tak się złożyły, że nie pani odemnie potrzebujesz obrony, bo pani nic nie zagraża, ale owszem ja, mężczyzna, szukam u pani chwilowego schronienia, przed niebezpieczeństwem...

Ciocia Giefia rozpromieniała. Czuła, że będzie po raz pierwszy w życiu powołaną do jakiejś bohaterskiej roli i chwyciła się tej roli oburącz.

— Pan w niebezpieczeństwie, tyś w niebezpieczństwie, panie Arturze! — zawołała — ależ to okropne, przerażające! O niegodziwcy! o bezczelni! o bezwstydni! więc im nie dość że starego rotmistrza o siwych włosach wywieźli w syberyjskie otchłanie, więc im nie dość jednej ofiary, ale ścigają jeszcze pana! chcą pochwycić, uwięzić, zesłać, zakopać żywcem w kopalniach, okuć w kajdany! O! że grom z nieba tych krwiożerczych najezdników nie zgładzi!... Ale daremne ich usiłowania, choćby byli sto razy bardziej Moskalami niż są, ja pana nie dam, panie Arturze, ja nie dam tym dzikim zbirom salonowego i europejskiego młodzieńca, ja pana dla salonu i dla Europy ocalę. Tu, tu, — mówiła z wzrastającym bardzo szybko zapałem, porywając byłego kamerjunkra za rękę i ciągnąc go za sobą — tu w tym wdowieńskim pokoju, w którym nigdy męska stopa nie postała i nie powstanie, ukryj się pan i bądź bezpieczny! Jeżeliby tu wejść chcieli, bądź pan pewnym, że nie wejdą chyba po moim trupie, ale nawet niepodobna przypuścić, żeby wejść usiłowali, *car c'est de la bêtise*, jak mawiał mój nieboszczyk szambelan.

Cała polityczna tyrada, cała ta kaskada wyrazów, wypowiedziana była jednym tchem, tchem który dowodził, że ciocia Giefia, mimo dwudziestoletniego wdowieństwa, które po trzech niezmiernie krótkich pożyciach z małżonkami nastąpiło, miała jeszcze płuca potężne i nie potrzebowała się obawiać tej plagi, która dziesiątkuje ludzkość, a przed której nazwą: „suchoty“ doktorzy medycyny w milczeniu i pokorze uchylają swoich biretów. Między wyrazem a wyrazem tego płomienistego wynurzenia gotowości do oddania żądanej przysługi, nie znalazła się nigdzie przerwa nawet tak mała, żeby w nią pan Artur wsunąć mógł zatrzymujące potok słów wyrażenie:

— Ależ, pani szambelanowo!...

Był tedy pan Artur zmuszony wysłuchać tej przemowy aż do końca. Nie wiemy z jakiej właściwie przyczyny ciemno mu się robiło w oczach podczas tego kazania, i rumieńce — gość bardzo rzadki — występowały na jego arystokratycznie bladą twarz.

Nareszcie ciocia Giefia przerwała i zaczerpnęła oddechem.

W lot skorzystał z tej przerwy pan Szostacki.

— Ależ, pani szambelanowo — zawołał — nieboszczyk szambelan miał słuszność, *c'est de la bêtise* co pani mówisz.

— *De la bê...tise?* — powtórzyła ciocia Giefia zdumiona.

— Tak pani!... zkąd idea, że jabym mógł rząd tak rozdrażnić, żeby aż ściągnąć na siebie następstwa tak okropne, jak nasz poczciwy rotmistrz, któremu nie odmawiam należnego szacunku, ale który niech mi pani wierzy, w rzeczach politycznych był lekkomyślny jak dziecko. Mnie właśnie o to idzie, żeby się nie skompromitować przed rządem. Nieszczęście chce, że jestem w takim wieku, w którym człowieka mimowolnie ciągną do patrjotycznych awantur, nieszczęście chce że między tymi awanturnikami jest ten hajdamaka Bartłomiej Zahajpolski, który sobie poprzysiągł, że mnie mieć będzie w powstaniu pod swoją komendą, zapewne dlatego, żeby się pomścić na mnie za to, żem go nieraz trochę z góry traktował. Ten awanturnik i zawadjaka mógłby naprawdę zrobić to czem zagrażał. A osądź że pani sama czy ja mogę iść do powstania?...

— Pan! — zawołała z najnaturalniejszym w świecie zdziwieniem ciocia Giefia — pan, *quelle idée!...* taki delikatny, taki salonowy, taki europejski młodzieniec, *mais c'est de la...*

— Nie idzie tu o delikatność, ani o salonowość, — trochę urażony przerwał pan Artur — idzie tu o rozsądne pojmowanie obowiązków względem ojczyzny. Gdyby szło tylko o narażenie swojej osoby, poszedłbym niezawodnie, życia nie żałowałbym pewno. Gdyby szło tylko o to, że za udział w powstaniu mogą nam skonfiskować majątek, poszedłbym również, o majątek mi nie idzie. Ale w takiem położeniu w jakiem my jesteśmy, w położeniu wyjątkowem, kiedy jesteśmy także w posiadaniu fideikomisu, który w razie dania powodu ze strony naszej, dostałby się w ręce wrogów, najprostsza uczciwość nie pozwala nam dawać najmniejszego pozoru do zagrabienia majątku, który z takiem zaufaniem w ręce nasze złożono...

Ciocia Giefia nie zrozumiała z początku o co panu Arturowi chodziło; gdy zrozumiała, gdy się dowiedziała, że tylko wzgląd na całość mienia powierzonego mu w depozyt przez rotmistrza wstrzymywał byłego kamerjunkra od narażenia się na wszelkie niebezpieczeństwa dla ojczyzny, pan Artur wydał jej się bohaterem, przerastającym o głowę wszystkich bohaterów, o jakich w romansach czytywała. Nigdy przedtem i nigdy podobno potem nie była ciocia Giefia tak gorącą powstania zwolenniczką jak w tej chwili. Zapał jej patrjotyczny był iskrą tlejącą pod popiołem, potrzebował rozniecenia, żeby buchnął płomieniem. Pan Artur ani się mógł spodziewać, że się stanie tą podnietą, że gdyby nie jego zjawienie się w Zaskalu, szambelanowa pozostałaby nadal jak była przedtem obojętną na ruch krajowy, a zaprzątniętą wyłącznie swoją tylko osobą i nadziejami.

— To szczytne — rzekła — ale nie zawiedziesz się pan na mnie! Pojmuję świętość pobudek, które panu każą trzymać się na uboczu od powstania, i gdyby była potrzeba, gdyby ten zawadjaka z Zahajpolszczyzny koniecznie chciał wyciągnąć pana na rzeź, ukryję pana, sobą zasłonię i ocalę. A gdyby miało przyjść do ostateczności, to wtedy... wtedy, już wiem co zrobię!

Otucha wstąpiła w pana Artura, otucha tak wielka, że niedopytywał się już nawet co ciocia Giefia w ostatecznej ostateczności zrobi, bo mu szło tylko właściwie o to, żeby wybuchłą zawieruchę spokojnie przeczekać w Zaskalu, a gdyby rzeczywiście przyjść miało do jakiegoś zbyt natrętnego do szeregów powstańczych werbunku, żeby miał kto poświadczyć jakie rzeczywiście pobudki wstąpić mu w te szeregi nie pozwalają. Rozpogodziło się zatem jego czoło i rozgościł się w Zaskalu swobodnie, korzystając z uprzejmej gościnności cioci Giefi.

A ciocia Giefia niebardzo nawet była mu natrętna swoją osobą. Wytłumaczywszy się przed nim potrzebą wydania koniecznych śniadannych- i objadowych rozporządzeń, pozostawiła go samego i oddaliwszy się odbyła z czeladką, po największej części kobiecą, gdyż męska prawie wszystka wyszła do Gradowiec i nie wracała, dziwne jakieś konferencje i narady.

Paraszka, Olenka, Chapka i inne sługi zapędzone zostały do szycia, dziewkę od krów posyłano do kowala, stary Jan gracjalista otrzymał polecenie przeszukania na strychu starego żelaztwa, podstarościemu Lemieszyńskiemu dawano także jakieś tajemnicze zlecenia, słowem robiono tyle rzeczy zagadkowych, że gdyby był pan Artur spostrzegł te machinacje, byłby się przeląkł i wyjechał z Zaskala prędzej jeszcze niż przybył, gdyż byłby przyszedł do przekonania że w tej spokojnej wiosce jest jedno z najczynniejszych ognisk konspiracji.

(C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna

w ogólnym zarysie.

Napisał

Czesław Pieniążek.

Trudne to niezmiernie zadanie, ująć sposobem wyczerpującym w zakres krótkiego poglądu: messjanizm filozoficzny i towiańszczyznę. Ażeby dokładnie rozprawić się z pierwszym, i cały jego pochód przez literaturę naszą wyjaśnić, należałoby nietylko pisma filozoficzne Wrońskiego, Królikowskiego, Bukatego i t. d. szczegółowo rozebrać, ale także całą uwagę skierować na poezję

*

naszą, szczególniej po r. 1830, na dzieła Krasińskiego, Mickiewicza, Zaleskiego, Pola i innych. Praca tego rodzaju na większy zakrój, specjalnie messjanizmowi poświęcona, nie byłaby atoli zupełną — bo z systemu messjanicznego, który bądź co bądź, miał warunki filozoficzne, rodzi się aberacja Towiańskiego, a towiańszczyzna nie należy jeszcze do przeszłości, nie przeszła z życia w historję. Ztąd też materjały, chociaż są do jej wyświecenia wcale liczne, nie są ani skończone, ani ustalone. Z dotychczasowych możnaby już nawet i o kilku tomach monografję zestawić, ale praca taka po latach może dziesięciu, musiałaby ustąpić przed inną, która wówczas dopiero prawdziwie wyczerpującą będzie, gdy i korespondencje Mickiewicza z Towiańskim zostaną ogłoszone — i inne materjały powychodzą z ukrycia.

Rzecz o messjanizmie czekać musi zatem ostatecznego rozbioru do owej chwili, gdy towiańszczyzna zupełnie i stanowczo wyświeconą zostanie.

Gdy więc praca obszerna nie miałaby celu, nie mogąc być zupełnie krytyczną, gdy na monografję wykończoną nie przyszła jeszcze pora, zdaje nam się — że krótki przegląd tych rzeczy, chociaż drogą raczej kompilacyjną niż krytyczną zestawiony — wyda się przydatnym, aby chwilowej potrzebie tymczasowo zaradzić. Potrzeba zaś takiej pracy nasuwa się ztąd, że wszystko, co się do towiańszczyzny i messjanizmu odnosi, rozrzucone po publikacjach już tylko po bibljotekach przechowanych, dotąd skupienia i zestawienia nie doczekało się wcale.

Gdy sobie chcemy zdać sprawę z tego, w czem upatrywać źródło messjanizmu i towiańszczyzny, mimowoli cofamy się myślą do rzeczy, wielce od przedmiotu naszego na przestrzeni czasu odległych — a jednak pokrewnych mu tak co do istoty swojej, jako też w przyczynie i skutkach. To też na początek wyszlemy słów kilka, naprowadzimy uwagi, z których nie uczynimy ustępu organicznie z dalszemi kartami związanego — ale rzucimy je jak luźne myśli, do których rzecz samą nawiązać, wydaje się właściwem i stosownem.

Filozofja wyzwoliwszy się z ciasnych więzów scholastyki, rozbudzona pochodem reformacji religijnej, rozwijała się prędko — absorbując dla siebie wszystkie głębsze umysły. Nie wszystkim dane było w udziele tworzyć własne systematy filozoficzne; ale filozofować, parafrazować objawiające się teorje, było tak ponętnem, tak wreszcie stało się powszechnem, że dwa poprzednie nam stulecia, wszystkie niemal wybitniejsze literatury napełniły krzyżującemi się tendencjami przeróżnych filozomatów. Reformacja wprowadziła filozofję na pole religijne i odtąd też ta ostatnia, z coraz większą swobodą obracać się na niem poczęła, a popęd raz w tym kierunku powzięty, często wiódł rozum ludzki do dziwnych aberacji.

Już to zawsze działo się w sferze myśli ludzkiej, że gdy jakieś wielkie idee wstrząsały społeczeństwem, w ślad za niemi zjawiała się jakaś egzaltacja, która odbierała wszelką refleksję, a entuzjazmem, fantazją upajała, sprowadzając zboczenia umysłowe. Jeżelibyśmy — posługując się porównaniem — widzieli w wielu ideach pochodnie myśli ludzkiej, co albo pomroki rozwidniają, albo nowe ludzkości oświecają ścieżki, to aberacje owe musiałyby się nam wydać tym czadem, co się smugą dymu gryzącego, z płomieni pochodnianych wydziela.

Obok reformatorów świadomych siebie i swoich celów, wytwarza się rój marzycieli, fanatyków jak: Robert Browne, Jan z Leyden, Tomasz Münzer i t. d. rzucających na podwaliny cywilizacyjne ludzkości, zarzewie zagłady. Obok filozofów, na których systematy możemy się godzić lub nie godzić, ale z którymi zawsze liczyć nam się wypada, snuje się zastęp marzycieli, którzy wprawdzie nie mają do mordów uzbrojonej dłoni, ale prawidłowy rozwój myśli ludzkiej wstrzymują. Dość rzucić okiem na mistyków, jak: Swedenborg, Saint-Martin, Jung-Stilling, Eckartshausen, pani Guyen, baronowa Krüdener i inni twórcy teorofji. Nie dotykamy tu mistycyzmu czysto religijnego, bo takie osobistości jak St. Teresa, St. Franciszek z Assyżu i t. d. tudzież sprawy stygmatów usuwają się zupełnie z widowni filozoficznej, w sferę teologji, lub historji kościelnej.

Filozofja wsiąkając coraz więcej w życie, coraz śmielej dotykała wszystkich jego przeznaczeń, to też i stosunkom społeczno-politycznym nowe musiała wskazywać podwaliny. W drugiej połowie 18 wieku przybiera stanowczo charakter reformatorski, domagając się najzupełniejszych przeobrażeń i staje się przedświtem wielkiej Rewolucji francuskiej. Rewolucja rzuca całą przeszłość na ofiarę przyszłości, cezaryzm napoleoński spycha ją ze stanowiska powodzią krwi zdobytego, nowe rozwijają się akcje polityczne pod znakami nadsekwańskich orłów cesarskich, wreszcie na polach Waterloo rozprasza się ostatni połysk błyskawicznej epoki Napoleona I, Restauracja zwycięża i pragnie wcisnąć Europę w ramy dawnego systemu. Lecz pamięć rewolucji i echo tylu bitew nie giną. Rewolucyjność schodzi w katakomby, by do nowych gotować się zapasów, a narody rozczarowane w nadziejach, bądź zagrożone w najświętszych prawach swoich, zdają się wyczekiwać czegoś, co im zmianę na lepsze zwiastuje. Ogólnem jest poczucie, że zaprowadzony porządek rzeczy jest tymczasowy, przemijający— że przyszłość musi wkrótce w odmienne kształty wyłamać się z teraźniejszości.

Tworzą się nowe sytematy, wykluwają idee. Saint-Simon, Fourier, Robert Owen i t. d. z jednej strony, Lamennais, Chatel, Jan Ronge, Czerski i t. d. z drugiej strony, grupują się obok zastępu filozofów i uczonych jak: Hegel, Feuerbach, Schelling, Michelet, Quinet. Prawdziwy powstaje chaos i zamęt w pojęciach; każda zasada na swój sposób pragnie uszczęśliwić ludzkość, a chociaż śród tego nawału tendencyj różnorodnych niezmierna ilość znajduje się dziwactw i mrzonek fantastycznych, przecież uwaga powszechna zwraca się ku nim, zajmuje się niemi, bo ogół pragnie zmiany istniejących stosunków i szuka środków potemu we wszystkiem, co mu się nasuwa. Nie ma tu jeszcze żadnego kryterjum, któreby swoim strychulcem sprowadzało sąd o rzeczy do miary należytej; jest tylko przekonanie, że w tym lub owym kształcie prawda zjawić się musi.

Pośród tych prądów — niedziw, że zjawił się i messjanizm. Stworzyło go oglądanie się za jakąś siłą zewnętrzną, pragnienie jej pomocy do rozbicia zaprowadzonych teraz stosunków. Skoro myśl ludzka daremnie siliła się dotąd, by nadać stałe, zadowalniające formy społeczeństwu, skoro rozum zawodził i sprzeczne z sobą wytyczał kierunki, niejako stało się koniecznością szukać absolutnej prawdy w sile zewnętrznej człowieka. Nastąpiło tu przesilenie filozofji spekulacyjnej, powrót filozoficzny do wiary, do siły wyższej, do Boga. Ztąd też owa wiara, że nie wewnątrzna praca ducha, że nie siła — jaką człowieczeństwo samo w sobie znaleść może, by dążyć do przeobrażeń; że jednem słowem: nie wola ludzka, lecz objawiona z zewnątrz idea, po za wolą człowieka zrodzona, po za rozumem jego istniejąca, ma z góry spłynąć i odrodzić człowieczeństwo. Inaczej powiedziawszy: nie praca własna człowieka, lecz objawienie Boże położy koniec wszystkim niedolom społeczno-politycznym, wszystkim wątpliwościom religijno-filozoficznym.

Messjanizm w systemat filozoficzny ujęty, wyrósł z umysłu polskiego i w polskiej literaturze czas długi panował — i niedziw: wszak najwięcej musieliśmy się spodziewać, bośmy najwięcej z narodów europejskich stracili. Normalne warunki bytu zostały nam odjęte, ziemia odwróciła się od nas, więc myśmy się ku niebu zwracali. Zresztą nie jest to zjawisko u nas wyjątkowe. Gdy narody kiedykolwiek zepchnięte ze swoich stanowisk, w świecie realnym wroga miały dla siebie, tworzyły sobie idealne światy, lub karłowaciały. Zanadto byliśmy olbrzymami w przeszłości, zanadto była ona nam widną, abyśmy mogli byli złamać się i znikczemnieć — więc musieliśmy myślą i sercem przebijać niebiosa.

Messjanizm z towiańszczyzną za jedno brać nie można, bo pierwszy zjawia się jako idea, jako systemat filozoficzny, zaprząta sobą krytykę filozoficzną, wsiąka w historjozofję i spływa na poezję. Towiańszczyzna czepia się messjanizmu jako systematu filozoficznego, wyciska go dla siebie z poezji, z historjozofji — i rośnie temi sokami karmiona we własne kształty, jak potworny pasożyt w truciznę.

(C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

Tomasza Anquetil.

(Ciąg dalszy.)

Samica głuszca nigdy nie przywołuje samca, poprzestając na odpowiedzi tylko, a czasem udaje nawet że go nie słyszy. I któż nam wytłumaczy powód? Jest że to oziębłość lub kokieterja? Miałażby i ona swoje chwile niestałości i kaprysu? Jeżeli mu odpowiada, krzyk jej jest mało wymowny, lecz za to gdy zwołuje swoje pisklęta organ nabiera intonacji trudnej do opisania. Jest to jakby pieszczotliwe i rzewne kwokanie, zmieniające się w ton nakazujący, donośny, czasem wpada także w krzyk rozpaczliwy, którego kurczęta natychmiast słuchają. Ale gdy utraci jedno pisklę, trzeba ją słyszeć zapełniającą rozdzierającym krzykiem tajemne ustronia lasu, a gdy je znajdzie nareszcie, radość odzywa się w jej głosie kaskadą tonów pełnych czułej wymówki i drżącego wzruszenia.

Samiec jest najczęściej samotnym, rzadko można go widzieć w towarzystwie kur, a te gdy się znajdą w jego obecności rozpoczynają bójkę, co jest niejako dowodem, że uczucie zazdrości jest im także wrodzone. Gdy się kury biją, kogut napuszony pozwala im się czubić. Nie wdaje się w te zatargi; czy przez próżność czy umyślnie?

może jedno i drugie, może nie chce żadnej sobie narazić.

Gdy koguty walczą, samica zwykle się oddala, i przychodzi do zwycięzcy lub ucieka ze zwyciężonym. Czasem jednak zdarza się, że bierze stronę jednego z walczących; nie wiemy jednak czy w tych razach sprzyja mężowi czy kochankowi, czy powoduje się uczuciem bojaźni lub przywiązania, czy idzie za popędem lub za przyzwyczajeniem?

Pominąwszy czyny niestałości — a gdzież rodzaj, któryby ich nie popełniał! — głuszca mogę śmiało zaliczyć do jednożennych, a nigdy do poligamów, ponieważ przywiązuje się, jeżeli już nie wyłącznie, to przynajmniej uderzająco do jednej samicy. Chciałem koniecznie zbadać o ile niestałość wchodzi w obyczaje tego ptaka, i upewnić się, czy przypadkiem nie oddaje się miłostkom wtedy, gdy samica znosi jaja lub wodzi pisklęta; ale mimo najszczerszej chęci nie zdołałem tej kwestji wyjaśnić.

Szczegóły powyżej przytoczone dotyczą gatunku wielkich głuszców (*tetrao urogallus*) bardzo rozpowszechnionych w Malezji, Indjach, Indo-Chinach, aż do krańców strefy gorącej. Przeciwnie mały rodzaj (*tetrao tetrix*) przebywa w zimniejszych krajach, i pochodzi zdaje mi się z wyżyn graniczących z południowym stokiem Himalajów. Głuszec jest wybornym przysmakiem, mięso jego soczyste i przesiąkłe aromatem, gdy na gorąco podany; jaja przydają się do wszystkiego i są doskonałe.

Na drugi dzień, ładna birmanka nie omieszkała sposobności, i przyszła o oznaczonej godzinie złożyć mojej żonie wizytę, przyprowadzając z sobą kilka przyjaciółek, z których każda przyniosła mały dar z owoców, kwiatów lub tym podobnych drobiazgów. Moja żona przyjęła gości ze zwykłą sobie uprzejmością i bawiła je jak mogła, pokazując im niektóre szczegóły strojów kobiet europejskich i rozdając małe podarunki. Nad wieczorem udaliśmy się wszyscy razem na festyn. Muy-Ma, i któż by to uwierzył! roztoczyła cały zapas porywającej kokieterji, używając wszystkich możliwych przymileń koteczki w obec mojej żony, i zręcznie upozorowanych zaczepek i przekomarzań ze mną, aby tylko pokazać, że jest w lepszych z nami stosunkach niżli jej towarzyszki. Zacząłem doprawdy winszować sobie w duchu, że już wkrótce odjedziemy. Mój Boże jak człowiek jest słaby, a djabeł sprytny!

Miałem dobrą myśl, żem się podzielił zwierzyną z gubernatorem; grzeczność ta bardzo mu podchlebiła i festyn był wspaniały. Na dużej przestrzeni okolonej wysokiemi drzewami, wystawione były dwa pawilony z bambusu, jeden dla gubernatora, drugi dla mnie. Służbę moją, kolonistów i całą załogę rozstawiłem za nami; ludność miejscowa zalegała w około plac i miejsce dzielące dwa pawilony od estrady przeznaczonej na przedstawienia sceniczne. Oświetlenie składało się z wielkiej liczby pochodni i lampek, napełnionych petroleum i porozstawianych gęsto na słupkach i u stóp drzew, które tworzyły fantastyczne cienie swoim czerwonawem i kopcącem światłem, wśród olbrzymich drzew parku, gdy tymczasem nad głowami aktorów błękitne sklepienie niebios jaśniało gwiazd tysiącem.

Na naszej estradzie znajdowały się dwie poduszki dla mnie i mojej żony, która jednak z lekkim odcieniem złośliwości ofiarowała moje miejsce Muy-Mai. To wyszczególnienie sprawiło niewysłowioną radość młodej birmance, i rumieniec jak piwonja wystąpił na policzki pokryte jaskrawym kolorytem stref gorących.

Zaledwie usiedliśmy, powitał nas koncert ogłuszający, pan gubernator przysłał nam swoje komplimentacje przez jednego z oficerów, poczem ze dwudziestu sług podało owoce i chłodzące napoje. Dramat narodowy dał początek przedstawieniom. Nie będę się nad nim rozwodził, bo i nie ma nad czem; była to epopea trochę polityczna, trochę religijna, przerywana tańcami i śpiewem, a trwała do północy. W czasie antraktu gubernator z grzecznością i uprzejmością dobrego tonu, opuścił swój pawilon i przyszedł do nas zająć miejsce między mną a żoną; wtedy nastąpiło nowe danie z ciast, tortów, pączków i kompotów. Widząc uprzejmość mojej żony dla Muy-Ma i jej towarzyszek, gubernator zaciekawiony spytał, kto by ona była i jakeśmy się z nią zaznajomili. Opowiadanie moje zabawiło go, i on zauważył jej ładny buziaczek, a kiedy mąż Muy-Mai przyszedł nam się pokłonić i ucałował z uszanowaniem rękę gubernatora, tenże z wielką łaskawością wskazał mu miejsce w gronie swojej świty. Prawdopodobnie przyczyniłem się do karjery fabrykanta werniksu. I bez żartu, jest to niejako ustalonym faktem, że ilekroć europejczyk wyszczególni którego z krajowców, jego ziomkowie zaczynają mu zaraz przyznawać zalety, których w nim pierwej nie zauważali.

Po skończonym dramacie, rozpoczęły się przedstawienia kuglarskie, efektowną sceną z dzieckiem w koszyku. Przebijanie pałaszem, krzyk rozpaczy, wzruszenie widzów, i ukazanie próżnego kosza; sztuczka dość znana. Później kuglarz wziął szczyptę prochu, włożył do małego szafliczka, poprószył nad fajerką i proch się zapalił: ten sam proch zmięszany z białym proszkiem z drugiego naczynia, nie zapalił się, a oddzielony od obcej substancji znów stał się palny. Z małą odmianą jest to figiel na który M. Gale odważył się sprosić całą gentre Wielkiej Bretanji z księciem Cambridge na czele.

Z kolei weszła żona kuglarza na scenę trzymając w prawej ręce garść piasku czerwonego, a w lewej piasek niebieski; włożyła to wszystko do putni napełnionej wodą, zmięszała szybko razem i wyjęła w jednej ręce piasek niebieski w drugiej czerwony, pokazując do koła, że zupełnie nie był pomięszany. Sztuka ta szybko wykonana jest wcale dobra. Dalej rozwinęła kawał sztywnego płótna nadzwyczajnej białości, wsypała nań garść prochu, nie zawiązała i położyła ną fajerce. Proch zapalił się zwolna bez naruszenia płótna. Wtedy potarła sobie ręce rośliną lepką, klejowatą, zdjęła płótno z ognia i rozpostarła na dłoni ukazując widzom niedopalone jeszcze ziarnka prochu. Rzeczywiście płótno było nienaruszone, miałem je w ręku jeszcze ciepłe. Znów wzięła garść prochu, zawiązała w kawał płótna mniej białego niż poprzednie, zanurzyła w wodzie, położyła na ogień i proch się zapalił. Własność niepalną, jaką posiadają konopie z Bombay, (*hibiscus cannabinus*) i amiant starożytnych, (*sida abucilon*) rośliny, pochodzące jedna z Industanu, druga z Malezji, ułatwiają dokonania tych dwóch sztuk. Za pomocą rozczynu z alunu skalnego, talku i kości zmiażdżonych, nadaje się przędzy z wymienionych roślin własności nieprzepuszczalnej.

Z końcem przedstawienia wyleciały race, gwiazdy, słońca różnokolorowe, i cały komplet sztucznych ogni zakończony promieniejącym bukietem. Zegarek wskazywał drugą po północy. Pożegnaliśmy się serdecznie z gubernatorem, który życząc szczęśliwej podróży obiecał odwidzić nas jeszcze w stolicy. Ludzie z pochodniami odprowadzili nas do łodzi.

Muy-Ma, mąż jej, i przyjaciołki, towarzyszyli nam aż do samego brzegu rzeki. Tu nastąpiła scena czułego pożegnania, zapewnienia przyjaźni i pamięci. Muy-Ma ze zdradliwą szczerością uściskała moją żonę, i podała mi rękę w milczeniu, ale drżenie jej palców zdawało się mówić. „Jedź, jedź prędzej, błagam cię!“ Gdyby nie twardy obowiązek, zmuszający mię do odjazdu, kto wie czybym niemej jej prośby nie był zrozumiał odwrotnie.

ROZDZIAŁ II.

(*Indyjski Babu. — Polowanie z pogonką. — Charakter Naboba. — Pawie. — Plantacje roślin narkotycznych i ich użytek.*)

Będąc w Kalkucie zajęty wydoskonaleniem sposobu zwijania jedwabiu z jedwabników z Tussah i Moogha, należących do familji *bombyx militta*, zrobiłem znajomość z jednym bogatym bardzo właścicielem, czyli babu, jak nazywają w Bengalu ludzi niskiego pochodzenia, którzy przez kupiectwo dobili się stanowiska pierwszorzędnych handlarzy.

Wielka ta osobistość świata pieniężnego obsypała mię tysiącem grzeczności. Czy w nadziei że dam się nakłonić do niejakich wyjaśnień tyczących się mojego sposobu wysnuwania jedwabiu, czy może poczytywał sobie za wielki honor podejmowania u siebie Europejczyka, dość że namówiwszy mnie, bym mu towarzyszył w wycieczce na kraniec Nepalu, Assamu i prowincji Botan, zabrał mnie także do Kauch Behaar, miejscowości dość znacznej, w pobliżu której były jego plantacje. Tam oprócz różnych produktów, chodowano i jedwabniki z Tussah.

Nie będę opisywał zbytku i konfortu, jakim się otaczał nasz bogaty Babu. Podróżowaliśmy jak książęta, a przyjechawszy do jego willi, zająłem się skrzętnie badaniem pracowitego owadu: mając jednak broń z sobą pomyślałem także o polowaniu. Babu, trochę by mnie zabawić, trochę dla własnej przyjemności, urządził wielkie polowanie z pogonką na indyki. Ptaka tego w Indjach zupełnie nie przyswajają, bądź że nie umieją się z nim obchodzić, bądź że nie zadają sobie ku temu pracy.

Indyk sinej czarności z bronzowym odcieniem, dochodzi w stanie dzikim do znacznej wielkości i objętości, żyje stadami w lasach, a często łącząc się w liczną gromadę przedsiębierze dość dalekie wycieczki. Towarzyski, lubiący swoją rodzinę, jest on nadzwyczaj dziki, ale w danej chwili umie stawić się odważnie; napadnięty usiłuje uciekać, lecz gdy nie może rozpędzić się do lotu dla braku miejsca, zbija się gromadnie i uchodzi dopiero wtedy, gdy część trupów zostawi mu wolne przejście; raniony rozprzestrzenia ogon, najeża pióra i rzuca się na swego napastnika; wściekłość jego jest zwykle bezsilna, zdarza się jednak, że czasem zrani dziobem strzelającego.

Po śniadaniu wyruszyliśmy na polowanie. Babu, jego przyjaciel, gubernator dystryktu, i ja siedzieliśmy w jednej skrzyni umocowanej na grzbiecie słonia, zwanej *huddah;* dwudziestu sług uzbrojonych, trzymając się w biegu kroku na-

szych grubo-skórnych wierzchowców, towarzyszyło nam, a reszta znajomych i zaufana służba mieściła się na idących za nami słoniach. Oprócz tego czterdziestu ludzi było już naprzód wysłanych, dla wytropienia indyków i obstawienia kniei.

Dwie mile dzieliły nas od lasu i w godzinę przebyliśmy tę przestrzeń. U wnijścia w gęste zarośla czekały nas cztery *junkuns*, czyli lektyki z firankami zsuwanemi, które lżejsze i wygodniejsze od palankinów, nadają się wybornie do dróg lesistych, często zatamowanych pniami drzew, zwieszonemi gałęźmi lub lianami. Właśnie mieliśmy zająć miejsca w lektykach, gdy groźny ryk dał się słyszeć zdala. Służba stanęła w milczeniu spoglądając na swego pana. Słonie poczęły przebierać nogami mimo nałożonych pęt, strzygły uszami, i podniesionemi trąbami wietrzyły tygrysa: są to u nich oznaki niepokoju dawane za zbliżeniem lub na odgłos ryku tego groźnego nieprzyjaciela. Obejrzałem broń moją, i z boku rzuciłem spojrzenie na naszego milionera; wydał mi się siny, mimo bronzowej cery. W dwie lub trzy minuty tygrys ozwał się z takiej odległości żem stracił wszelką nadzieję wpakowania kilka kul w bok tej dzikiej bestji. Twarz mego babu rozjaśniła się jednocześnie. „— W drogę!"— zawołał dumnie, skinąwszy na swoich ludzi, i za chwilę znaleźliśmy się w cieniu olbrzymiego lasu.

Djemadar, czyli najstarszy ze sług, szedł na czele; *junkunsy* szeregiem postępowały, niesione przez czterech tragarzy, mając po bokach eskortę z dwóch ludzi, a w ariergardzie sam babu otoczony sześciu sługami zbrojnymi od stóp do głowy, zamykał pochód. Krzyki dalekie powtarzane echem lasu, oznajmiły nam że pogonka natrafiwszy na stado, rozpoczęła swoją czynność. Głosy zrazu dalekie, w miarę zwężania się koła, stawały się coraz wyraźniejsze; cisza przerwana niezwykłą wrzawą obudziła mieszkańców cienistych ustroni, i szelest szybki jak mgnienie oka, oznajmiał nam od czasu do czasu bieg płochliwy dzikiego zwierza. Djemadar wstrzymał nasz pochód, zatknął w miejscu oznaczonem kilka tyk, zawieszając na nich czerwony kawał materji, *junkunsy* zaś rozstawił w pewnej od siebie odległości, o kilka kroków w tyle szkarłatnego godła.

Gniewliwe gdakanie jędorów i pisk żałośny indyczek, uwiadomił nas o zbliżaniu się stada; zaszeleściały krzaki i wypadła na nas cała gromada ptaków, rzucając się z wściekłością naprzód widząc przed sobą kolor czerwony. Nie ruszając się z miejsca strzelaliśmy z naszych junkunsów, ścieląc pole trupami i w niespełna kwadransie ubiliśmy pięćdziesiąt sztuk; rannych było drugie tyle i służba kijami dokonywała rozpoczętej rzezi.

W tym czasie gospodarz przedstawiał komiczny obraz tchórzostwa. Mierzył z zimną krwią do ptaków póki te były daleko, lecz gdy zranione, z najeżonem pierzem przypuszczały szturm do niego, zamiast strzelać przestraszony Krezus odrzucał broń, krył się do lektyki i zaciągając firanki wrzeszczał na swoich ludzi, by go oswobodzili od napastników. Trwoga jego doszła raz do tego stopnia, że nie mógł dość prędko zasunąć chroniącej go draperji, i indyk przyskoczywszy dzióbnął go w rękę. Na widok dwóch kropli krwi zciekających z dłoni, wydał przeraźliwy krzyk, zbladł i gotował się zemdleć; a był to nieułamek mężczyzny, zbudowany sążniście, miał pięć stóp i sześć cali. Oto jest charakterystyka indyjskich Nabobów, i dla tego to Anglicy za nic ich nie mają.

(C. d. n.)

PAMIĘTNIKI

STANISŁAWA hr. MAŁACHOWSKIEGO,

Posła do Stambułu w czasie Sejmu czteroletniego, Generała, Senatora, Kasztelana Królestwa Polskiego itd. itd.

Z manuskryptu wydał i objaśnił

Wincenty hr. Łoś.

(Ciąg dalszy.)

Matka moja została także odwieziona z Włoszczowy, którą kozaki spalili, pałac zrabowali, tak że moja matka wśród dymu tylnemi drzwiami słysząc krzyk i strzelanie uciekła pieszo z kapelanem, jedną dziewczyną i służącym, którego kozak doścignąwszy w oczach matki mojej dzidą swoją przebił. Matka widząc go umierającego zostawiła księdza by oddał ostatnią posługę religijną, sama zaś przez błota, bagna, z jedną służącą dostała się do lasu, gdzie noc wśród zimna i trwogi przebyła. Nazajutrz doszła boso prawie, bo trzewiki w błocie potraciła, do wioski, tam odpoczęwszy przez pp. Fajglów, dzierżawców bliskich została do nas odwieziona.

O mil kilka od Baranowa w Przesławiu mieszkali państwo Rejowie. Pani Stadnicka, z domu siostra regentowej Badeniowej, dowiedziawszy się o naszym pobycie zaraz przyjechała, a widząc tak biedne nasze schronienie ofiarowała nam z wszelką uprzejmością na mieszkanie w drugim swoim folwarku Rzemierze, stary pałac murowany. Przyjąwszy tę tak potrzebną ofiarę, przenieśliśmy się wkrótce i wygodnie pomieścili. Niedługo brat mój z żoną i Antosiem Roztworowskim lat 10 podówczas mającym, przybyli i powiększyli nasze towarzystwo. Dochodów żadnych z dóbr nie pobierałem, z jednego tylko procentu 10.000, od posagu żony mojej dom tak liczny utrzymywałem, a pomimo największej oszczędności często w obawie byłem, czem wiktuały zapłacę. Sprzedaż kilku koni w Dąbrowie na jarmarku napełniła chwilowo nasz worek, a byłem od dzieciństwa nieśmiały i wstydziłem się pożyczać. Wystawiałem sobie, że jak wrócę do domu, to całą roczną zastanę intratę, lecz jakież było moje zdziwienie, gdy nic nie dawszy, jeszcze mi 30.000 zł. długu za kontrybucje i koszta wojenne do zapłacenia wskazali. Mieszkaliśmy więc familijnie kilka miesięcy, aż nakoniec po dziewięciu miesiącach emigracji, rewolucja nasza skończyła się ostatnim rozbiorem kraju.*) Wojska obce weszły, mój brat dostał się pod panowanie pruskie, ja pod austryjackie. Pilica o siedem mil nas przedzielała, ale trudność paszportów nie pozwalała nam się widywać, i gdy chciałem brata mego zobaczyć, przyjeżdżałem do mostu, na nim tylko parę godzin stojąc rozmawiałem, bo „ejnemer" austryjacki nawet pieszo na objad do pałacu iść nie pozwolił. Ten stan trwał lat 15, ale mimo rozszarpania całego kraju nie traciliśmy ducha pocieszając się zawsze nadzieją, że powstanie mściciel krzywd naszych i od jarzma obcego nas uwolni.

Jakoż kończący się wiek XVIII wydał na świat jenjusza, który sławę oręża francuskiego zapisawszy na piramidach egipskich, rozniósł ją podbiciem Hiszpanji i całych Włoch. Wojska francuskie w kilku kampanjach, wypędziwszy sprzymierzone wojska, posuwały coraz dalej zwycięztwa, aż nakoniec stolica Niemiec, Wiedeń, opanowaną została, a później Austrja, uginając kark dumny, dla okupu pokoju córkę cezarów w ofierze swemu zwycięzcy oddała. Nie długo potem Prusy ten sam los spotkał; w pięć dni kampanja ukończona, królestwo zawojowane, fortece i Berlin zdobyte, a król z resztą armj schronił się w granice Rossji. Wówczas Napoleon całą część Polski pod tem panowaniem zabraną Polakom oddał, dobra przez rząd za opinje polityczne skonfiskowane, właścicielom zwrócił, a wydawszy proklamację, że jeżeli Polacy wystawią 40.000 wojska, byt ich ustalony będzie, sam do Warszawy pospieszył, gdzie tymczasowy rząd polski z siedmiu członków ustanowił, którego prezesem mianowany był stryj mój, Marszałek ostatniego sejmu. Nie było zawiedzione oczekiwanie Napoleona, i w kilka tygodni sformowało się owych 40.000. Już to młode wojsko, połączone z szeregami armji francuskiej mogło przez swoje poświęcenie się wdzięczność swemu zbawcy okazać i na wnijście do karty politycznej zasłużyć.

My mieszkańcy po drugiej stronie Pilicy, pokojem z Austrją zatrzymani, ciesząc się ze szczęścia i sławy współbraci, tem większą nabieraliśmy nadzieję mówiąc: Godzina dla nas jeszcze nie wybiła, czekajmy! Bądźmy gotowi, a i na nas kolej przyjdzie!

Nie trzymam się porządku ani epok czasu, bo jestem tylko prostym opowiadaczem wypadków, których sam byłem świadkiem.

Tylko historja zbierać i klasyfikować będzie.

Po traktacie w Tilsyt z Rossją i Prusami zawartym, wojska francuskie do kraju wróciły, a ta część Polski oswobodzona, została urządzona według formy rządu francuskiego a kraj podzielony na prefektury i sądownictwa. Nie długo znowu przyszło do wojny z Austrją, Napoleon wszedł do Wiednia, a korpus arcyksięcia Ferdynanda 40.000 liczący w owym czasie szedł opanować po tamtej strony Pilicy kraj już przez Polaków posiadany. Książę Józef Poniatowski, główno dowodzący nad korpusem liczącym 8.000 nowego ale ochoczego żołnierza, stoczył bitwę pod Raszynem, w skutku której uzyskał chwalebną kapitulację oddania bez żadnej kontrybucji Warszawy. Owszem, gdy jenarał Neipperg wysłany do traktowania żądał od Księcia Poniatowskiego objęcia w kapitulację Pragi, książę odmówił, mówiąc, że Praga jest ufortyfikowana, że każe strzelać do Warszawy i pierwszy swój pałac Blancha*) zwany, w perzynę obróci. Po takiej rozmowie sam udał się ze swoim korpusem na Pragę, tam obóz założył, mając w obserwacji wszystkie kroki nieprzyjaciela, który wkrótce opuściwszy stolicę, zaczął się cofać.

Książę Józef, jako naczelny dowódzca tuż za nimi postępował, w ciągu marszu kilka potyczek stoczył, a Sandomierz przez Austrjaków obwarowany i broniony, szturmem pod dowództwem jenerała Sokolińskiego zdobył. Dalej postępując nadszedł korpus rossyjski 20.000 pod komendą księcia Suwarowa w skutku traktatu dodany, jako sprzymierzeniec, lecz ten zamiast pomocy, przeszkadzał operacjom i gdy wypadało stoczyć

*) 25. listopada 1795 r. podpisał Stanisław August akt abdykacji.

*) Pałac Blancha przy ulicy senatorskiej Nr. 8.

bitwę, rozkazów księcia Józefa nie słuchał, lecz patrząc z której strony podczas walki przemagają siły, stawał aby wstrzymać walczących.

Gdy ta część Polski, Galicją zachodnią zwana, po lewej stronie Wisły leżąca, wróciła pod panowanie prawe, a urzędnicy i wojsko austrjackie ustąpiło, imiona pierwszych familij znalazły się na liście urzędników i wojska. Rada stanu, ta pierwsza magistratura, była złożona z osób odznaczających się talentami i wyższem światłem.

To też nie było słychać o przekupstwie i podłości. Rzuciła się młodzież majętna do formowania swoim kosztem szwadronów, bataljonów i pułków. Ja otrzymałem nominację na pułkownika kirysjerów. W pochodzie wojska polskiego postępującego za austrjackiem, partyzanckie nowo uformowane oddziały zajęły Lwów i aż do Podola austrjackiego doszły, a w jednej akcji jenerała austrjackiego w polu obozującego, wozami i bagażami obwarowanego, do kapitulacji przymusiły. Było to wojsko, które później zostało regularnem, ale podówczas nazywano to ruchawką. Szlachta i żołnierze opatrzeni tylko w szablę i pistolety, bili się ochoczo i z zapałem, bo każdego honor i ocalenie ojczyzny prowadziły. Uchodził arcyksiążę Ferdynand w obawie, aby gdy Francuzi zbliżać się będą, on we dwa ognie nie był wzięty.

Książę Józef Poniatowski postępował także w celu złączenia się z armją francuską, a gdy zamierzał wejść do Krakowa, oficer rossyjski nie chciał go wpuścić mówiąc, że to miasto już przez Rossjan zajęte. Książę szpitzrutem po twarzy odpowiedziawszy, galopem z całym korpusem przebiegł przez bramę florjańską, a spędziwszy Rossjan z odwachu głównego na rynku, swoją wartą zaraz go obsadził i dalej przez Wisłę iść zamyślał, gdy w tem kurjer przybiegł uwiadamiając o pokoju z Austrją, skutkiem czego Galicja po prawej strony Wisły, która była jeszcze przez wojsko polskie opanowana, powróciła do dawnego rządu. To tylko przyznać należy, że amnestja święcie była zachowaną i nikt za należenie do powstania nie był prześladowanym. Inne zaś części Polski nazwę księstwa Warszawskiego otrzymały i rząd narodowy z samych Polaków zaprowadzony został. Tak więc ziemia polska wymazana z karty jeograficznej, pojawiła się znowu w rzędzie państw europejskich, a imię Polaka na nowo uświetnione (?) zostało. Wszędzie gdzie oręż francuski swoją sławę roznosił, tam Polak także się znajdował, trudy i zwycięztwa dzielił. Trzy lata tych swobód i szczęścia używaliśmy. Nastąpił rok 1812, i wojna Rossji została wypowiedzianą. Zapał w wojsku był nadzwyczajny; każdy pochlebiał sobie, że idzie podać rękę swoim współbraciom, i że reszta zabranej ziemi polskiej w jedno ciało będzie połączona.

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

XIII.

Mieszkanie ptaków.

Każdy ptak ma właściwy sposób budowania gniazda. Brodzące kryją swe gniazda wśród bagien między gęstemi trawami, grzebiące w polach i odłogach, pływające ścielą swoje na ziemi albo między sitowiem, ponieważ jednak wszystkie te gatunki są w ogólności wielożenne i mało przemyślne, samica ich sama obarczona wysiadywaniem potomstwa czasem bardzo licznego, dosyć ma niekiedy gdy zamiast słomy liści trochę naskłada. *Struś* nawet i kazuar (casuarius) zostawiają swe jaja na gołym piasku ogrzanym od słońca. *Nurki* zawieszają swe gniazda nad wodą pomiędzy sitowiem; *kaczka ohar* (anas tadorna) kopie norę w ziemi i w niej się niesie; *mewy* i *kormorany* zakładają swoje w rozpadlinach skał, lub na wzgórkach, niektóre długonogie nie mogąc usiąść dla długości nóg, wznoszą pośród wody kępkę z błota, na której siadają na jajach jak na koniu. *Bociany* robią gniazda na szczycie dachów, a czapla na wysokich drzewach nad wodami.

Wielożenne gatunki muszą ustąpić miejsca pod względem przemysłu w budowaniu gniazd jednożennym gatunkom. *Szczygły* (fringilla carduellis) nadają swoim kształt półkuli, zbitej zewnątrz a wewnątrz miękko wysłanej, którą zręcznie pomiędzy gałęziami drzewa umocowują; *gil* (pyrhula vulgaris) robi w swojem otwór z tej strony, która najmniej na wiatrów wpływ jest wystawioną; *dudki* (upupa epops), *dzięcioły* (picidae) kryją swe gniazda w wydrążonych drzewach, *wilga* (oriolusgalbuta) zawiesza swoje między dwiema gałązkami, a z wierzchu je nakrywa. I tak sposób życia ptaka jest nauczycielem budowania gniazda.

Podług Karola Bonaparte liczba wszystkich dotąd żyjących na ziemi ptaków do 9400 gatunków dochodzi. Z pomiędzy mnóstwa tych skrzydlatych kręgowców, czternasta część ma być *płetwonogich* ptaków (palmipeda), zbudowanych tak, iż zarówno wód przestworza jak powietrza są dla nich ojczyzną; z tych niektóre jednak więcej na wodzie i lądzie żyją, inne wcale chodzić nie umieją, inne znów zupełnie nie mogą latać. Szczególna ich budowa, życie odmienne od całej gromady ptaków i użytek, jaki z tych gatunków ludzie mają, są tak charakterystyczne, iż nie będzie zbytecznem słówko tu o nich powiedzieć.

Gdy nie ustraszony żeglarz, mieszkaniec północnej Syberji, Grenlandji lub Islandji daleko od brzegów za ryb połowem się oddali, a w podróży zdala czarną chmurę ujrzy, która grozi burzy niebezpieczeństwem, nie ucieka zaraz, nie kryje się przed wiszącym nad głową uraganem, lecz uważnie nasłuchuje, czy nie usłyszy krzyków właściwych tym stronom ptaków. Wrzask *nurów północnych* (colymbus arcticus) lub *olbrzymich*, (col. glaciatis), *alk*, (alca) *perkozów* (podiecps), wreszcie *pingwinów* (impenues), *bezlotków* (aptenodytes) i innych *nurowatych* (colymbidae) jest dla nich przepowiednią, jest wyrocznią i wskazówką co mają czynić.

Wszystkie nurowate ptaki są płetwonogiemi tj. palce mają całą płetwówką połączone i znakomicie nurkują, czy to żeru w głębi wód szukając, czy też przed niebezpieczeństwem się chroniąc. Ich skrzydła krótkie służą im więcej do pływania, wiosłowania w wodzie, aniżeli do lotu w powietrzu. Pióra ich gładkie, połyskiem do jedwabiu zbliżone, są nieprzemakalne, a puch miękki, delikatny, wielkiej wartości. Nogi zupełnie w tyle ciała wyrastając, zmuszają nura trzymać się na ziemi prostopadle, a przez to chód ich ciężki i niezgrabny, często nawet niemożebny, więcej do czołgania się gadu, niż do chodu ptaka podobny. Palce, jak powiedzieliśmy, zupełnie z sobą zrośnięte.

Familja nurów wyróżnia się nadto od innych krótkoskrzydłych ptaków dziobem, który jest dłuższy od głowy, szeroki i mocny, kształtu cylindrycznego, a po bokach spłaszczony i ostry, i z górną szczęką dłuższą od dolnej. Pływają one i nurkują z taką łatwością i szybkością, że często mogą przed strzałem skryć się pod wodę. Gdy myśliwy zbliży się do nich, nie uciekają, lecz w chwili, gdy z fuzji ogień zabłyśnie jak za uderzeniem różczki czarodziejskiej wszystkie nagle w głąb się zanurzają i nim strzał dojdzie do nich, już bezpieczne pod wodą nurkują. Chcąc trafić nura, trzeba przed ich wzrokiem sztucznie ogień z panewki zakryć, o czem mieszkańcy północy wiedzą dobrze, i polując na te dziwne ptaki, kartą panewkę jak parawanem zasłaniają.

Wszystkich nurów, których są trzy gatunki: C. glacialis, arcticus i septentrionalis, głównem pożywieniem są ryby, za których połowem nurzają się one z nadzwyczajną szybkością i ścigają je, zapuszczając się w największe głębiny morza; oprócz tego żywią się wodorostami i rozmaitemi wodnemi owadami. Wśród zimy, gdy wód powierzchnia lodem pokryta, zakładają one mieszkanie na urwistych brzegach rzek i stawów, na wiosnę zaś wracają do morza. Młode znacznie się różnią od swych rodziców, po trzech latach wieku dopiero stale przybierają cechy wspólne całemu gatunkowi.

Bezlotki (aptenodytes), które budową i kształtem tak są zbliżone do pingwinów, iż większa część turystów i podróżników wcale ich nie rozróżnia, są to ptaki nadzwyczaj oryginalne. Już samo ich nazwisko dowodzi, iż nie są do lotu przeznaczone. Ci mieszkańcy mórz australskich rzeczywiście posiadają tylko szczątkowe skrzydła, pokryte krótkiem pierzem do włosów podobnem, często nazywanem łuską, i zupełnie do lotu ich używać nie mogą. Są to właściwiej płetwy, nie zaś skrzydła, któremi one znakomicie pomagają sobie w pływaniu. Pływają też najlepiej ze wszystkich nurowatych ptaków, a życie ich nadewszystko jest zajmujące.

W ogromnej ilości łączą się one w stada w początkach października, a na piasczystych wybrzeżach mórz północnej Europy można niezliczone ich gniazda łatwo spotkać. Są to po prostu wykopane przez nie dość głębokie jamy w piasku, w które składają najwyżej po dwa, a często po jednem jaju, które wysiadują samice.

Pomimo twardej i nawet dla kuli karabinowej trudnej do przebicia skóry, tysiące tych ptaków pada corocznie ofiarą zawziętości ludzkiej. Nieobliczona ilość ich na wyspach północnej Europy, pomimo nieustannego niszczenia przez żeglarzy, wcale się nie zmniejsza.

A jeżeli wierzyć mamy opowiadaniom, to majtkowie wylądowujący na północnych wybrzeżach, mordują je tysiącami. I tak Narborough opowiada, iż w bliskości brzegów Patagonji na pewnej wysepce ekwipaż jego zdołał zabić w przeciągu jednego kwadransa trzysta bezlotków i że nie trudno byłoby zabić ich nawet trzy tysiące. „Zabijano je — mówi ten żeglarz — stadami, które pod razami kijów padały.“

Na innej wyspie w okolicy Magelanu, majtkowie kapitana Drake zabili ich przeszło trzy tysiące w przeciągu jednego dnia, a jak L. Figuier zaręcza, podanie to nie jest przesadzonem.

Bezlotki nie obawiają się człowieka, przeciwnie wyczekują zupełnie spokojnie napadu, a w obronie używają dzióba do swej obrony. Gdy są prześladowane, udają, iż uciekają, potem nagle zwróciwszy się, rzucają się na nogi prześladowcy i dzióbią je nielitościwie. Czasami powiada Pernetty, zdają się nie zwracać uwagi na człowieka, odwracając głowę to w jednę, to w drugą stronę, jakby chciały kpić z niego. Zwykle gromada tych ptaków stojących prostopadle na swych krótkich nogach, podobną jest zdala do gromady małych liliputów, lub dzieci, ubranych w białe komże lub fartuszki, a gdy krzyk wydadzą, zda się, iż za niemi ukryte stado osłów ryczy. Żeglarze, przepływający blisko brzegów wysp australskich, a nie obznajomieni z okolicą, mogliby przysiądz, iż płyną koło wysp przez ludzi zamieszkałych, i że ich mieszkańcy świąteczną odprawiają uroczystość, tak głos tych ptaków gromady do dzikich wykrzykników tamtejszych mieszkańców jest podobny.

Mięso z bezlotków nie jest wybornem, lecz dla podróżników-żeglarzy, którzy nie mają już żadnych zapasów, stanowi pokarm bardzo poszukiwany, a jaja, jak wszystkich płetwonogich ptaków, są bardzo smaczne.

Pingwiny podobne do bezlotków, żyją gromadnie i rzadko można je widzieć osobno i na stałym lądzie, chyba tylko w czasie wysiadywania jaj, lub gdy silne prądy wiatrów lądowych zmuszają je opuścić ulubiony ich żywioł. Wtedy można je widzieć gromadnie siedzących prosto i na szczątkach ogona opartych, lub maszerujących w wyciągniętej linji, jakby wojsko jakie. Tak postępując, stare, po obu swoich stronach umieszczają pisklęta i w porządku po spadzistych i stromych skałach, po niebezpiecznych urwiskach się przechadzają, przyczem niezliczone setki ich spadają z wysokich skał w przepaść, zaścielając trupami ich podnóża. Lot ich jest ciężki i niezgrabny i chyba koniecznością zmuszone, używają tego sposobu ruchu.

Ciekawym jest opis gromadnego życia pingwinów na lądzie, gdy wspólnemi siłami pracując, jeden wspólny zakładają obóz na wysokich i niedostępnych skałach. Na takim urwistym brzegu zakreślają sobie one naprzód czworobok, mający około dwóch hektarów przestrzeni, a którego jeden bok równoległy do brzegu wody jest zamknięty, gdy przeciwnie pozostałe w wielu miejscach są otwarte dla swobodnej z zewnątrz komunikacji. W następstwie czasu za pomocą silnego swego dzioba zgromadzają kamienie, i układając je na wytkniętych planem linjach, murują ściany, w kilku tylko miejscach poprzerywane otworami, stanowiącemi drzwi i bramy, przez które po żer wychodzące samce wchodzą. Takim sposobem wspólne ich gniazdo, to jeden wielki oszańcowany obóz, którego bram podczas nocy pilnują skrzydlaci rycerze. Wewnętrzne urządzenie tej ich fortecy jest także bardzo zajmujące. Gdy wejdziesz doń, ujrzysz podzieloną ją na małe kwadratowe kazamaty, a w każdej z nich pewna liczba gniazd jest umieszczoną, po środku zaś przechodzi szeroka, wygodna droga, z której rozchodzą się do każdego gniazda węższe korytarze, ścieżki. I budowniczy nie dałby lepszego planu, nie wybudowałby odpowiedniejszej dla pingwinów twierdzy!

Lecz uderzającem jest, że inne ptaki, a mianowicie *Albatrosy* (diomedea), istoty napowietrzne, łączą się w epoce lągu z pingwinami, temi ptako-rybami, aby wspólnie wysiadywać jaja, wspólnie przez ten czas żyć i bronić się. Gdy wejdziesz do obozu, nie ujrzysz samych pingwinów, lecz naprzemian gniazdo pingwina, a obok niego albatrosa. I różnorodny ten naród ptasi żyje z sobą w zgodzie i przyjaźni, pomimo zwyczajów i potrzeb nie jednakich, a jeżeli zajdzie niekiedy w łonie jego jaka niezgoda, to chyba z winy którego pingwina, który odebrał przypadkiem sąsiadowi albatrosowi gniazdo.

I inne ptaki morskie również korzystają z gościnności mieszkańców tej małej rzeszy pospolitej a odebrawszy pozwolenie od członków zarządu, umieszczają swoje gniazda w niezajętych dotąd kazamatach twierdzy!

Pingwinów samice wysiadują jedno tylko jajo, lecz za to troskliwemi są matkami. Z gniazda odchodzą rzadko i na krótki przeciąg czasu tylko, gdy głód je przyciśnie, a odchodzącą samicę zastępuje natychmiast małżonek, siadając na gniazdo. Lecz pomimo tak małej płodności tych ptaków, to jednak w niezliczonej liczbie pływają one po morzach północnych, a kapitan Mood w jednej tylko podróży w te okolice sto tysięcy jaj pingwinów zebrał.

Dwa rozróżniamy gatunki pingwinów: *alkę lotną* (alca torda) wielkości naszej kaczki, zamieszkującą ocean lodowaty i często widywaną na północno-zachodnich brzegach Europy, i *wielkiego pingwina* albo *alkę* (alca impenuis), wielkości gęsi, którą z północnej jej ojczyzny chyba wiatr, lub burza jaka zaniesie w naszego klimatu okolicę. Tę to prawdopodobnie alki okoliczni chłopi w jesieni kijami zabijali, sprzedając na lwowskim rynku zeszłorocznej jesieni za nieznane jakieś gęsi. Mięso ich jednak nie musi być smacznem, przesiąkłe jest bowiem tłuszczem, którego odor niemiły zapach ryb przypomina, a którym przyroda obdarzyła te ptaki, by ciało ich lżejszem gatunkowo uczynić, by im ułatwić pływanie na wód przestworzach, na których przeważnie swój żywot pędzą. Za to jaja tych ptaków są smaczne i nader pożywne.

Do córki Polki.

Urywek z niedrukowanego poematu dramatycznego

TEOFILA LENARTOWICZA

p. t. „Piekielni."

Biada Ci Polko jeśliś urodziwa!
Nie narzeczonej czekać welon biały,
Nie myrtu różczka, którą dłoń życzliwa
Około skroni obwije nieśmiałej;
Czeka cię hańba w biały dzień, przy świadkach,
Krzykiem nię wydrzesz się, ni łzą ulewną!
Biada ci Polko przy mężach czy matkach,
Tyś twej godziny, twego dnia niepewną!

Dość, by ujrzały oblicze twe wrogi,
Gwardja moskiewska, wyrzutki kałmuków,
A poprowadzą wśród warszawskich bruków
Tam, gdzieby twoje nie chciały iść nogi!
Pójdziesz ty piękną, — nie przed ołtarz Boży,
Złote pierścionki z narzeczonym mienić. —
Lecz kędy cały duch się twój z trwoży,
A wstyd cię będzie płomieniem rumienić!
Bo ciebie wpiszą między nikczemnice,
I płacić każą ohydny podatek...
A wtedy siostro gdzie obrócisz lice?
Do matki? Kędyż szukać polskich matek?!

Zimowe słońce obniża się wcześniej,
A życie w nędzy węższy łuk wymierza...
Niewiasta, Polka, rodzica rycerza
Odeszła — kędy wielkie poszły pieśni...
Nic nie zostało z dawnej Polek wiary...
Pieśń pogardzona, co jej serce rwała!
Wyśmiane męztwo! zaprzeczona chwała!
Jak chmury znikły rycerskie sztandary!
Straszna, więzienna przegryzła zgnilizna
Żelazne serca — i osad czerwony
Powierzchnię pokrył... pękły męzkie strony. —
I zgłuchło imię najświętsze *Ojczyzna!*

Szubienic drzewo próchnem świeci złotem:
Gdzieniegdzie skryte westchnienia i szlochy;
I tylko burza lecąca nad prochy,
Veni Creator głuchym ryczy grzmotem!

To gdzież ci droga polska, święta dziewo?!
Której pierś robi, usta piany sieką?
Próżno się w prawo oglądasz czy w lewo,
Jedna ci nędza — blisko — czy daleko!...
Do męża wrócisz? I tam gwardja carów
Pójdzie za tobą, ściągnie od ogniska,
I wepchnie w łoże brudnych lupanarów,
Na trupy żywe, na ciał gnojowiska!

Westalko! ogień coś żywiła święty,
Mniszko! coś lilje wiary dochowała;
Obywatelko! coś na straży stała
Niepodległości ducha nieugiętej:
Taką ci rolę dają świata psiarnie,
I takie wstydy, i takie męczarnie!

I nikt, prócz garstki ubogiej młodzieży,
Nie schyli czoła w głębokiej żałobie:
Słońce nam zaszło, w koło noc się szerzy,
I podłość Polsko szczeka przeciw tobie!

O! siostry biedne! siostry ukochane!
Ile was jeszcze kryją grobów krepy:
Wy, pod kopalni przytulone ścianę,
I wy, ciągnione przez pochmurne stepy,
I wy, włóczone po miejskich ratuszach,
I wy, znoszące w nędznych izbach głody —
Cześć wam niewiasty! bo na takich duszach
Stoją i żyją cierpiące narody!

Lecz tobie — rzucam zakrwawioną śliną,
Z suchotniczego łoża, ze szpitala,
Coś obwinęła dłonią kark moskala,
Uścisk mu podły niosąc — konkubino!

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

ROZDZIAŁ III.

(Ciąg dalszy.)

(*Na wybrzeżu. — Ayrton z Pencroffem ocalają rozmaite przedmioty z zatopionego statku. — Gawędka podczas śniadania. — Rozumowanie Pencroffa. — Szczegółowe zbadanie okrętu. — Zasieki prochowe nietknięte! — Nowe bogactwa. — Ostatnie szczątki z okrętu. — Kawałek rurki złamanej.*)

— Wylecieli w powietrze! zawołał Harbert.

— W samej rzeczy! jak gdyby Ayrton zapalił składy prochowe! odparł Pencroff wskakując do windy wraz z Nabem i Harbertem.

— Lecz cóż to się stało? zapytał Gedeon Spilett, nie mogąc ochłonąć jeszcze ze zdumienia, w jakie wprawiło go to niespodziewane rozwiązanie.

— A! tym razem dowiemy się!... odparł żywo inżynier.

— Co się dowiemy?...

— Później! później! Teraz pójdź ze mną, Spilecie. Najważniejszą obecnie rzeczą, ażeby ci korsarze zostali wytępieni co do nogi!

I po tych słowach Cyrus Smith, pociągnąwszy za sobą korespondenta i Ayrtona, pospieszył w ślad za Pencroffem, Nabem i Harbertem na wybrzeża.

Z całego okrętu nie widać było teraz nic zgoła, nawet masztów. Podrzucony w górę przez ową trąbę wodną, położył się następnie na bok i w tej pozycji zatonął, zapewne w skutek dziury, jaka w nim powstała. Lecz ponieważ w tym miejscu kanał nie więcej jak dwadzieścia stóp był głęboki, nie podlegało zatem wątpliwości, że szkielet zatopionego okrętu w czasie odpływu wynurzy się znowu z pod wody.

Na powierzchni morza pływały rozmaite przedmioty pochodzące z rozbitego statku. Między innemi całe stosy masztów i rejów zapasowych, klatki z żywym jeszcze drobiem, skrzynie i beczułki, które powoli wydobywszy się z pomiędzy ścian zatopionego okrętu, wypływały na wierzch; nie widać było jednak żadnych szczątków samego okrętu, ani belek z pokładu, ani dylów z pudła okrętowego — co stawiało w świetle zagadkowem to nagłe zatopienie Speedy'ego.

Niebawem jednak oba maszty, złamane kilka stóp ponad pokładem, zgruchotawszy podpory i porwawszy drabinki sznurowe, wypłynęły na wierzch wody, wraz z żaglami, z których jedne były rozpostarte a inne zwinięte. Nie trzeba było jednak dać unieść odpływowi te wszystkie skarby, to też Ayrton z Pencroffem wskoczyli natychmiast do czółenka, by wyłowić te przedmioty i wyciągnąć je bądź to na brzeg wyspy, bądź na brzeg wysepki.

W chwili jednak, gdy wsiadali do czółna, powstrzymała ich następująca uwaga Gedeona Spiletta:

— A owych sześciu zbójów, którzy wylądowali na prawy brzeg Dziękczynnej?

W istocie należało pamiętać o tem, że owych sześciu ludzi, z którymi czółno roztrzaskało się o skały, wydobyło się na ląd w pobliżu przylądka Rozbitków.

Osadnicy spojrzeli w tę stronę, lecz nie dostrzegli nigdzie żadnego zbiega. Prawdopodobnie na widok tonącego okrętu uciekli wszyscy w głąb wyspy.

— Zajmiemy się nimi później, rzekł Cyrus Smith. Mogą być jeszcze niebezpiecznymi, bo są dobrze uzbrojeni, lecz w końcu sześciu przeciwko sześciu, szanse równe. Zabierzmy się więc teraz do tego, co pilniejsze.

Ayrton z Pencroffem wsiedli do czółna i pomknęli dziarsko na połów pływających po morzu szczątków z okrętu.

Morze było gładkie a stan wody wysoki, od dwóch dni bowiem trwał nów. Szkielet okrętu mógł wynurzyć się z pod wody dopiero za dobrą godzinę.

Ayrton z Pencroffem mieli dość czasu przymocować maszty i belki za pomocą lin, których końce wyrzucono na wybrzeże u podnóża Pałacu Granitowego. Tam osadnicy zjednoczonemi siłami przyciągnęli je do brzegu. Poczem pozbierano do czółna wszystkie inne przedmioty pływające po wodzie, kojce z drobiem, beczułki, skrzynie, i zniesiono takowe do „dymników."

Morze wyrzuciło także kilka trupów. Między niemi poznał Ayrton także zwłoki Boba Harvey'a i wskazując je swemu towarzyszowi, rzekł głosem wzruszonym:

— Oto, czem byłem dawniej, Pencroffie!

— Lecz czem już dziś nie jesteś, zacny mój Ayrtonie! odparł marynarz.

Dziwnem było zaiste, że tak mało trupów wypłynęło na wierzch. Naliczono ich zaledwie pięć lub sześć, a odpływające morze unosiło je ze sobą w dal. Prawdopodobnie zbóje zaskoczeni tą nagłą katastrofą, nie mieli czasu do ucieczki, a gdy okręt przewalił się na bok, większa część została pod parapetami. Morze unosząc ze sobą zwłoki tych nędzników, oszczędziło tem samem osadnikom smutnego obowiązku pogrzebania ich na jakimś zakątku wyspy.

Przez dwie godziny Cyrus Smith ze swoimi towarzyszami zajęci byli wyłącznie holowaniem masztów na piasek nadbrzeżny, odczepianiem rejów, i wyciąganiem na suchy ląd żaglów całych zresztą i nietkniętych. Rozmawiali mało, bo ich ta robota zupełnie zaprzątała, lecz ileż myśli krzyżowało się po ich głowach! Statek ten albo raczej to, co w sobie zawierał, stanowiło dla nich prawdziwy skarb. Każdy okręt bowiem jest jakby świat mały, i zasoby osady wzbogaciły się wieloma pożytecznemi rzeczami. Była to „na wielkie rozmiary" jakby długa taka skrzynia, jaką znaleźli niegdyś u przylądka Rozbitków.

— Ba, a co więcej — myślał w duchu Pencroff — dla czegożby nie można wydobyć tego okrętu na wierzch i naprawić go? Jeśli ma w sobie tylko dziurę, to przecież dziura da się zatkać, a okręt o trzystu do czterestu tonach pojemności to w porównaniu z *Bonawenturą* okręt co się zowie! na takim okręcie można daleko popłynąć. Można nim zapłynąć dokąd się chce! Pan Cyrus, Ayrton i ja, musimy tę rzecz zbadać należycie! Dalibóg warta tego!

W istocie jeśliby okręt zdolny był jeszcze do żeglugi, to widoki osadników wyspy Lincolna na powrót do ojczyzny zwiększyłyby się przez to niesłychanie! Aby módz jednak rozstrzygnąć tę ważną kwestję, trzeba było czekać, aż woda opadnie, a tem samem można będzie zbadać ściśle stan okrętu.

Gdy już ocalone z okrętu przedmioty złożone zostały w bezpiecznem miejscu, Cyrus Smith z towarzyszami swoimi poświęcili kilka chwil na zjedzenie śniadania. Literalnie umierali z głodu. Na szczęście nie daleko była spiżarnia, a Nab wziął na siebie urząd intendenta. Zastawiono śniadanie koło „dymników," a podczas jedzenia o niczem oczywiście innem nie rozmawiano, jak o niespodziewanem zdarzeniu, które w sposób tak cudowny ocaliło osadę.

— Już to co cudowny to cudowny — powtarzał Pencroff — bo trzeba przyznać, że te draby w sam czas wyleciały w powietrze! Dziwnie niewygodnie zaczynało już być w Pałacu Granitowym.

— A jakże sądzisz, Pencroffie — zapytał korespondent — jakim się to stało sposobem i co mogło spowodować to wysadzenie okrętu w powietrze?

— E! panie Spilecie, to rzecz bardzo prosta — odparł Pencroff. — Na okręcie korsarskim nie ma takiego porządku jak na statku wojennym! Co zbóje to nie majtkowie! A to rzecz pewna, że składy prochowe były otwarte, bo nas kartaczowali bez przestanku, a dość jednej nieostrożności lub niezgrabności, by całą maszynę wysadzić w powietrze!

— Co mnie zaś dziwi, panie Cyrusie — ozwał się Harbert — to, że wybuch ten tak mały sprawił skutek. Huk nie był bardzo silny, a wszystkiego razem nie wiele belek i dylów zostało powyrywanych. Zdawałoby się, że okręt raczej zatonął niż został wysadzony.

— To cię dziwi, moje dziecko? — zapytał inżynier.

— Tak, panie Cyrusie.

— I mnie to także dziwi, Harbercie — odparł inżynier — skoro się jednak przypatrzymy z bliska okrętowi, to się nam niezawodnie wyjaśni ta zagadka.

— A ba! panie Cyrusie — rzekł Pencroff — przecież nie zechcesz pan utrzymywać, że *Speedy* zatonął po prostu wskutek uderzenia o skałę?

— Czemużby nie? — zauważył Nab — jeżeli są jakie skały ukryte w kanale?

— Wybornyś mój Nabie — odparł Pencroff. — Widać, żeś dobrze nie patrzył. Ja widziałem wyraźnie jak okręt na chwilę przed zatonięciem, podniósł się naprzód na olbrzymiej fali, a potem spadając przysiadł na tyle. Otóż gdyby był po prostu uderzył o skałę, byłby zatonął spokojnie, jak przystało na uczciwy okręt, kiedy idzie na spód.

— Otóż to właśnie, że to nie był okręt uczciwy! — odparł Nab.

— Wreszcie przekonamy się o tem wkrótce, Pencroffie — rzekł inżynier.

— Zapewne, że się przekonamy — dodał marynarz — ale ja stawię głowę w zakład, że nie ma żadnych skał w kanale. Na dobrą sprawę, panie Cyrusie, czy pan i w tem zdarzeniu upatrujesz coś cudownego?

Cyrus Smith nic na to nie odpowiedział.

— Bądź co bądź — rzekł Gedeon Spilett — czy to się stało wskutek uderzenia o skałę, czy wskutek wybuchu, przyznasz Pencroffie, że się stało w sam czas!

— Zapewne!... zapewne!... — odparł marynarz... — lecz tu nie o to chodzi. Ja się pytam pana Smitha, czy upatruje w tem wszystkiem coś nadnaturalnego.

— Ja nie wypowiadam w tej mierze żadnego zdania, Pencroffie — rzekł inżynier. — Nie mam na to innej odpowiedzi.

Odpowiedź ta jednak bynajmniej nie zadowoliła Pencroffa. Obstawał za eksplozją i nie chciał w żaden sposób porzucić swojego zdania, ani zgodzić się na to, ażeby w tym kanale, którego całe dno składało się z takiego samego drobnego piasku jak wybrzeże, i który nieraz w czasie odpływu przebywał w bród, miały ukrywać się nieznane jakieś skały. A zresztą w chwili gdy okręt zatonął, był przypływ, to jest: że było więcej wody niż potrzeba było statkowi, aby wolno przepłynął, nie potrąciwszy o skały niedostrzeżone podczas odpływu morza. A zatem okręt nie mógł trącić o żadną skałę. A zatem nie rozbił się, lecz wysadzony został w powietrze.

Trzeba przyznać, że rozumowanie marynarza nie było pozbawione wszelkiej słuszności.

Około godziny wpół do drugiej z południa wsiedli osadnicy do czółna i popłynęli w miejsce, gdzie okręt był zatonął. Żałowali, że oba czółna należące do statku nie zostały ocalone; lecz jedno z nich, jak wiemy, rozbiło się u ujścia Dziękczynnej, i było zupełnie nie do użytku; drugie zaś pociągnął za sobą w głąb okręt tonący, i nie wyszło więcej na wierzch.

W tej chwili szkielet *Speedy'ego* począł wynurzać się z pod wody. Okręt leżał więcej niżeli

na boku, balast jego bowiem, wskutek przewrócenia się statku, przewalił się cały na jedną stronę i ciężarem swoim podruzgotał maszty, tak że okręt leżał prawie do góry dnem. Jakieś niewytłumaczone ale straszliwe wstrząśnienie podwodne, które jednocześnie objawiło się za pomocą olbrzymiej trąby wodnej, przewróciło snać statek.

Osadnicy okrążyli dokoła cały okręt, i w miarę jak woda opadała, odsłaniały się im, jeśli nie sama przyczyna katastrofy, to przynajmniej skutki przez nią sprawione.

Na przodzie okrętu, z obu stron dzióba, na siedm lub ośm stóp przedtem, nim się zaczyna szkielet, boczne ściany były straszliwie poszarpane, na długość najmniej dwudziestu stóp. Tu znajdowały się dwa szerokie otwory, przez które woda wciskała się do statku, a których niepodobnaby było zatkać. Nie tylko całe obicie z blachy miedzianej i tramy zginęły do szczętu, na proch zapewne zmiażdżone, ale nawet oklepkowanie, kołki żelazne, skoble i nity zniknęły bez śladu. Wzdłuż całego pudła, ku tyłowi okrętu, wszystkie klamry porozrywane puściły. Tokmaszt wyrwany został niepojętą siłą, a sam przód okrętu wydarty z tułowu, pękł cały na pozdłuż.

— Do kroćset djabłów! zawołał Pencroff. Trudno już będzie złatać ten okręt do kupy!

— Niepodobna — rzekł Ayrton.

— Na wszelki wypadek — rzekł Gedeon Spilett do marynarza — jeśli to w samej rzeczy była eksplozja, to dziwny sprawiła skutek! Rozsadziła spodnie części pudła okrętowego zamiast wysadzić w górę pokład i ponadwodne części statku! Te szerokie pęknięcia zdają się pochodzić raczej od uderzenia statku o skałę, niżeli od wybuchu prochowego!

— Nie ma skał żadnych w kanale! — odparł marynarz. — Przyznam wam wszystko co chcecie, z wyjątkiem skał podwodnych!

— Starajmy się wejść do środka okrętu — rzekł na to inżynier. — Tym sposobem dowiemy się może, czemu przypisać mamy zagładę okrętu.

Była to rada najlepsza, a zresztą należało wejść czem prędzej w posiadanie bogactw nagromadzonych na okręcie i złożyć takowe w bezpiecznem miejscu.

Wejście do wnętrza okrętu było teraz łatwe. Woda wciąż opadała, a po spodniej części pokładu, która u wywróconego teraz statku stanowiła część wierzchnią, można było chodzić wygodnie. W kilku miejscach tylko załamał go balast składający się z ciężkich brył stopionego żelaza. Słychać było szmer wody wciskającej się przez szczeliny w pudle okrętowem.

Cyrus Smith z towarzyszami swymi, z siekierami w rękach, postępowali po wpół załamanym pokładzie. Był on cały zawalony rozmaitego rodzaju skrzyniami, a ponieważ skrzynie te bardzo krótki czas tylko zostawały we wodzie, łatwo zatem być mogło, że woda nie popsuła jeszcze zawartych w nich przedmiotów.

Pracowano więc nad tem, by cały ten ładunek złożyć w miejscu bezpiecznem. Woda miała dopiero za kilka godzin powrócić i z tych kilku godzin zrobiono jak najlepszy użytek. Ayrton z Pencroffem przeciągnęli przez dziurę w pudle okrętowem blok, na którym wyciągali do góry beczułki i skrzynie. Pakowano je do czółna i odwożono natychmiast na brzeg. Brano zaś bez różnicy wszystko, odkładając na później przebrakowanie znalezionych rzeczy.

Bądź co bądź przekonali się osadnicy wkrótce ku wielkiemu swojemu zadowoleniu, że okręt posiadał ładunek złożony z najrozmaitszych artykułów, narzędzi, utworów rękodzielniczych i przyrządów, jakiemi zwykły zaopatrywać się statki podejmujące wielką żeglugę do wysp Polynezyjskich. Spodziewali się więc znaleść wszystkiego po trochę, a tego właśnie potrzeba było osadzie linkolnskiej.

Cyrus Smith zauważył jednak ku wielkiemu acz utajonemu zdziwieniu swemu, że nietylko pudło okrętowe, jak to był przewidział, ucierpiało niezmiernie od jakiegoś uderzenia, które spowodowało katastrofę, lecz także całe wewnętrzne urządzenie statku zwłaszcza z przodu, zostało zniszczone. Ściany i przegrody były podruzgotane, jakgdyby straszliwy granat jaki pękł był w środku okrętu. Osadnicy mogli wygodnie przechadzać się po okręcie od przodu aż do samego tyłu, w miarę jak uprzątywali i zabierali skrzynie. Nie były to zaś ciężkie paki trudne do udźwignięcia, lecz zwyczajne skrzynie, których zewnętrzne opakowanie było już zniszczone.

Osadnicy dostali się w ten sposób aż na tył okrętu, w miejsce gdzie znajdowała się dawniej kajuta oficerska. Według wskazówki Ayrtona tu należało szukać składów prochowych. Cyrus Smith sądził, że na wypadek jeśli w nich wybuch nie nastąpił, kilka beczułek dałoby się może ocalić, w nadziei że woda nie tknęła prochu otoczonego zazwyczaj powłoką z kruszcu.

Tak się stało w istocie. Wśród stosów kul i pocisków znaleziono około dwudziestu beczułek wyłożonych wewnątrz blachą miedzianą i wyciągnięto takowe z jaknajwiększą ostrożnością. Pencroff przekonał się teraz własnemi oczyma, że *Speedy* nie został zniszczony przez eksplozję. Właśnie ta część pudła w której znajdowały się składy prochu, ucierpiała najmniej.

— Niech i tak będzie! odparł uparty marynarz, ale co się tyczy skał, to żadnych skał nie ma w całym kanale!

— Więc jakimże to się stało sposobem? zapytał Harbert.

— Ja nic nie wiem, odparł Pencroff, pan Cyrus także nic nie wie i nikt nic nie wie, i nigdy wiedzieć nie będzie!

Kilka godzin upłynęło wśród tych rozmaitych poszukiwań i przypływ dawał się już czuć. Trzeba było zawiesić dalsze wyładowanie statku. Zresztą nie było obawy, ażeby morze zabrało ze sobą szkielet okrętu, przymocowano go bowiem tak silnie, jakgdyby spoczywał na dwóch złożonych na krzyż kotwicach.

Można było zatem spokojnie oczekiwać przyszłego odpływu, by na nowo rozpocząć robotę. Lecz co do okrętu samego, ten skazany był na zagładę i trzeba się było spieszyć nawet by ocalić choć szczątki pudła, zanim utonie w lotnym piasku na dnie kanału.

Była wtedy godzina piąta z wieczora. Ciężki to był dzień dla osadników. Z wielkim więc apetytem zjedli objad, poczem, pomimo znużenia, jakie czuli, nie mogli poskromić w sobie chęci przepatrzenia skrzyń, z których się składał ładunek *Speedy'ego*.

Większa ich część zawierała gotowe już ubrania, które powitano oczywiście z wielkiem zadowoleniem. Było teraz czem odziać, zaopatrzyć w bieliznę i w obuwie choćby całą wielką osadę.

— Oto z nas teraz bogacze! zawołał Pencroff. — Cóż my poczniemy z tem wszystkiem?

I co chwila wydobywały się z ust rozochoconego marynarza grzmiące „hurra" na widok beczułek z wódką cukrową, fasek z tytoniem, broni palnej i ręcznej, całych bel bawełny, narzędzi roboczych, ciesielskich, stolarskich, skrzyń ze zbożem rozmaitego gatunku, i tym podobnych rzeczy, którym krótki pobyt we wodzie wcale nie zaszkodził. Ach! jak pożądane byłyby były te przedmioty dwa lata temu! Mimo to i teraz, chociaż osadnicy własnym przemysłem do wszystkiego sobie dopomogli, skarby te przydały się bardzo.

Nie brakło na nic miejsca w składach Pałacu Granitowego, tego dnia jednak nie było już czasu na zmagazynowanie wszystkiego. Trzeba jednak było pamiętać o tem, że owych sześciu zbójów z załogi *Speedy'ego* znajdowało się na wyspie, że byli to zapewne łotry pierwszego rzędu, i że trzeba się było mieć przed nimi na baczności. Pomimo że most na Dziękczynnej i wszystkie mostki były zwiedzione, zbóje tacy nie daliby się zapewne odstraszyć rzeką jaką lub potokiem, a wiedzeni rozpaczą, mogli być niebezpiecznymi.

Później miano zastanowić się nad tem, jak względem nich postąpić, tymczasem zaś trzeba było odbywać straż nad skrzyniami i pakami nagromadzonemi koło „dymników," czemu też osadnicy kolejno przez całą noc się oddawali.

Noc upłynęła jednak bez żadnego napadu ze strony zbójów. Panowie Jow i Top, strzegący Pałacu Granitowego, byliby ich niezawodnie natychmiast zdradzili.

Przez trzy dni następne, to jest 19, 20 i 21 października, wynoszono z okrętu wszystko, co mogło mieć jakąkolwiek wartość lub użyteczność, tak z rzeczy znajdujących się w nim, jak i ze zewnętrznych jego przyrządów i przyborów. Podczas odpływu morza wyładowywano okręt. Podczas przypływu składano wyratowane przedmioty do magazynu. Wielką część miedzianego obicia okrętu zdarto z pudła, które z każdym dniem zapadało głębiej. Zanim jednak piasek pochłonął cięższe przedmioty leżące na dnie kanału, Ayrton z Pencroffem spuściwszy się kilkakrotnie na dno, znaleźli tam łańcuchy i kotwice okrętowe, żelazne bryły balastu a nawet owe cztery działa, które wydźwignęli na wierzch wody zapomocą próżnych beczułek i wyciągnęli na ląd.

Tak więc nietylko spiżarnie i składy Pałacu Granitowego ale i zbrojownia została wzbogaconą przedmiotami ocalonemi z okrętu. Pencroff, entuzjastyczny jak zawsze w swych projektach, rozprawiał już o postawieniu baterji, któraby ostrzeliwać mogła kanał i ujście rzeki. Temi czterma działami gotów był powstrzymać całą flotę, „chociażby nie wiedzieć jak potężną" od zbliżenia się do wyspy Lincolna!

Po tem wszystkiem, gdy już z całego okrętu pozostał tylko bezużyteczny szkielet, nadeszła burza i zniszczyła go do reszty. Cyrus Smith miał zamiar wysadzić go w powietrze, by potem szczątki z niego pozbierać na brzeg, lecz silny wicher północno-wschodni i morze wburzone oszczędziły mu trudu i prochu.

W samej rzeczy, w nocy z 23. na 24 października, szkielet okrętu został zupełnie zgruchotany, a część jego szczątków wyrzuciła woda na brzeg.

Co się tyczy papierów i dokumentów okrętowych, rozumie się, że pomimo najstaranniejszego przetrząśnienia wszystkich szaf i schowków w kajucie oficerskiej, ani śladu ich nie znalazł

nigdzie Cyrus Smith. Korsarze zniszczyli niezawodnie wszystko, co się odnosiło do kapitana lub właściciela *Speedy'ego*, a ponieważ na tylnej tablicy statku nie było wypisanej nazwy portu, do którego należał, nie było więc najmniejszego znaku, po którymby można było wnioskować o jego narodowości. Mimo to Pencroff i Ayrton z kształtu, jaki posiadał przód okrętu, sądzili, że pochodził z warsztatów angielskich.

W ośm dni po katastrofie, czyli raczej po szczęśliwem chociaż zagadkowem zdarzeniu, któremu osada zawdzięczała swe ocalenie, nie było już widać ani znaku z okrętu, nawet przy najniższym stanie wody. Szczątki jego rozpierzchły się na wszystkie strony a Pałac Granitowy wzbogacił się tem wszystkiem prawie, co statek zawierał.

Tymczasem jednak tajemnicza przyczyna jego zagłady, nie byłaby się była zapewne nigdy wyjaśniła, gdyby dnia 30 listopada, Nab, wałęsając się po wybrzeżu, nie był znalazł przypadkiem kawałka żelaznej rurki, na której widoczne były ślady eksplozji. Rurka ta była pokrzywioną i poszarpaną jak gdyby przez jaką masę eksplodującą.

Nab przyniósł ten kawałek żelaza swemu panu, który wraz z towarzyszami swoimi zajęty był właśnie jakąś robotą w „dymnikach."

Cyrus Smith przypatrzył się uważnie rurce, poczem zwracając się do Pencroffa, rzekł:

— Więc ty, mój przyjacielu, zawsze jeszcze obstajesz przy tem, że *Speedy* nie zatonął wskutek rozbicia?

— Tak jest, panie Cyrusie, odparł marynarz. Pan wiesz tak dobrze jak ja, że nie ma żadnych skał w całym kanale.

— A cóż, jeżeli rozbił się o ten kawałek żelaza? zapytał inżynier pokazując złamaną rurkę.

— Co, o ten kawałek świstawki? zawołał Pencroff tonem zupełnego niedowierzania.

— Przyjaciele, rzekł na to Cyrus Smith, czy przypominacie sobie, że okręt, zanim zatonął, podrzucony został w górę przez rodzaj trąby wodnej?

— Tak jest, panie Cyrusie! odparł Harbert.

— Dobrze, a chcecie wiedzieć teraz, skąd powstała owa trąba? Oto z tego, rzekł inżynier wskazując na rurkę.

— Z tego? zapytał Pencroff.

— Tak jest! rurka ta jest resztką torpilu!

— Torpilu! zawołali chórem towarzysze inżyniera.

— A któż tam podłożył ten torpil? zagadnął Pencroff, nie chcąc się jeszcze poddać.

— Tyle tylko wam mogę powiedzieć, że nie ja! odparł Cyrus Smith, lecz torpil ten znajdował się tam z pewnością, a byliście sami w możności osądzić nieporównaną moc jego skutku!

(C. d. n.)

Z pola wielkich wynalazków.

Nitrogliceryna.

Dnia 11 grudnia 1875 r. parostatek „Mosel" zabierał się do wypłynięcia z portu Bremeńskiego. Tłum ludzi był zebrany nad brzegiem; tragarze, robotnicy, podróżni, ich krewni żegnający się, wszystko to cisnęło się do statku. W tem o godzinie 10ej minut 20, gdy spuszczano na ziemię trzy jakieś pudła i beczułkę, usłyszano wybuch straszliwy.

Skutek wybuchu był przerażający. Ośmdziesiąt osób zabitych na miejscu, sto kilkadziesiąt innych odesłano rannych do szpitali. Pokład okrętu przełamany, kajuty poniszczone i ze wszystkich stron spadające kawały żelaza, towarów i ciał ludzkich: wszystko to razem robiło okropne wrażenie.

W kilka chwil potem pasażer pierwszej klasy, Wilhelm Thomson wypalił sobie w łeb, zamknąwszy się w kajucie. Gdy umierającego zaniesiono do szpitalu i badano o powód samobójstwa, zeznał, że pomiędzy towarami, które umieścił na Moseli, było pudło z dynamitem, i mechanizmem zegarowym tak urządzonym, że po dziesięciu dniach działał na sprężynę, która sprowadzała przez uderzenie wybuch dynamitu. Sam Thomson miał wysiąść po drodze (okręt szedł do Ameryki) w Southampton, pierwszej stacji okrętu. Obrzydliwa spekulacja popchnęła go do tej zbrodni; zaasekurował bowiem na znaczną sumę swoje towary mało cenne, i chciał tym sposobem po zniszczeniu okrętu dostać zapłatę od towarzystwa za towary zgubione.

Okręt na środku morza wyleciałby w powietrze i nikt o czynie zbrodniczym nigdyby się nie dowiedział. Atoli nad spodziewanie, uderzenie gwałtowne przy ładowaniu sprowadziło za prędko wybuch, i autor katastrofy widząc, że go odkryją, w łeb sobie wypalił.

Zatrzymaliśmy się dłużej przy tym wypadku, bo to zbrodnia charakterystyczna dla naszego wieku i wiele dająca do myślenia na przyszłość.

Co może być straszniejszego, niebezpieczniejszego jak nóż w ręku warjata! Lecz gdy mu się da do ręki broń stokroć straszliwszą, o nieopisanej sile niszczącej — wtedy to pięknych możemy się spodziewać wybryków!

Chemicy stają się coraz bardziej niepokojącymi; wynajdują coraz nowe trucizny, widzą je wszędzie: w powietrzu, w wodzie, którą pijemy, wynajdują coraz nowe środki wybuchające, coraz straszliwsze, coraz potężniejsze.

Nitrogliceryna, o której tak wiele w latach ostatnich mówiono, jest bezwątpienia straszną potęgą, tem straszniejszą, że nią władać dobrze może jednostka, że ją każdy łatwo przyrządzić może, i że w ręku takiej jednostki, niekiedy moralnie zwichniętej, leży życie setek osób, i całość miast naszych.

Mieliśmy przykład na Thomsonie.

W sztuce wojennej szczególniej na morzu nitrogliceryna oddaje już wielkie usługi

Wybrzeża morskie są przez torpile tak dobrze bronione, że trudno już nawet teraz przypuścić, aby okręt nieprzyjacielski mógł przybić do brzegu. Ba, parę lat temu wynaleziono nowe torpile dopędzające okręt, pływające pod wodą, któremi z brzegu można kierować.

Małe czółenko w kształcie cygara, napełnione kilkuset funtami nitrogliceryny podpływa niewidzialne pod wodą do okrętu, uderza o jego boczne ściany, wybucha i z okrętu ślad nie pozostaje.

Wszystkie morskie państwa pozaprowadzały u siebie tego rodzaju torpile. Gdy nowa jaka wojna wybuchnie, będziemy o nich słyszeli.

Mówiliśmy dotąd o ujemnych stronach nitrogliceryny; ma ona i dodatnie, nawet bardzo wielkie. Bez jej pomocy nie moglibyśmy może nigdy wykonać w najtwardszych skałach takich tuneli olbrzymich jak św. Gotharda, Hoosac i innych, albo budowa ich zajęłaby nieporównanie więcej czasu. Oprócz tego, karczowanie lasów, przełamywanie lodów nagromadzonych i tamujących rzeki, jest jej siłą potężną wybuchową znacznie ułatwione.

Przypatrzmy się trochę bliżej tej nowej potędze.

Każdy zna dobrze płyn słodki, oleisty, używany tak często w sztuce toaletowej, zwany gliceryną. Otrzymuje się z tłuszczów rozmaitych przy fabrykacji świec i mydła, jako produkt uboczny.

Jeżeli tę glicerynę cienkim strumieniem będziemy wpuszczali do mięszaniny kwasu azotowego z kwasem siarkowym powszechnie znanym pod nazwą witryolu, to żadnej zmiany zewnętrznej na glicerynie nie zauważymy. Na dnie naczynia zbierze się taki sam płyn oleisty, żółtawy. Lecz skład chemiczny tego płynu zmieni się ogromnie. Mamy wtedy zamiast niewinnego, słodkawego płynu używanego do nacierania ust, aby nie pękały od wiatru — straszliwą wybuchającą materję. W ten łatwy sposób otrzymujemy nitroglicerynę, wymywszy ją poprzednio wodą dla zupełnego usunięcia kwasów.

Płyn ten dziwnie się zachowuje wobec ognia. Można w nim świecę zagasić nie sprowadzając wcale wybuchu (nie radziłbym jednak nikomu robić tę próbę), gdy tymczasem silne wstrząśnienie, wybuch innego jakiego ciała, uderzenie, zamienia całą masę w jednej chwili w gazy rozrywające. W ogóle zauważono, że rozmaity rodzaj podpalania nitrogliceryny, nawet zwykłego prochu, wywołuje rozmaite skutki. Do niedawnego czasu przypuszczano, że jedna i ta sama ilość prochu w jednakowych warunkach zawsze daje tę samą siłę wybuchową.

Nowsze atoli doświadczenia pokazały, że jednym i tym samym nabojem prochu można wywoływać skutki podwójne, potrójne, a nawet poczwórne.

Poszukiwania p. Abla znakomitego chemika angielskiego dowiodły, że ciała wybuchające potrzebują wzbudzających w nich pewnego rodzaju drgania sympatyczne. Zwykłe zapalenie substancji nie daje dobrych rezultatów. Bawełna strzelnicza daleko lepiej wybucha zapalona prochem, aniżeli ogrzana do potrzebnej do zapalenia temperatury.

Wybuchająca masa kapiszonowa, składająca się z tak zwanego pioruniami rtęci (Nitrocyanometyl rtęciowy), wybuchem swoim powoduje natychmiastowy wybuch nitrogliceryny, podczas kiedy ta ostatnia może być ogrzaną do 200 stopni i dopiero wtedy się zapala.

Wybuch nitrogliceryny w pewnem miejscu może spowodować wybuch innej masy niedaleko leżącej. Dla tego też przy próbach trzeba jak najdalej trzymać większe masy tej substancji. Drgania udzielają się przez powietrze, tak jak drgania jednej struny wywołują drgania innej struny tego samego tonu.

Jest jeszcze jedna materja wybuchająca, zwana jodkiem azotu, której wybuch spowodować można pociągnięciem smyczka po skrzypcach. Jest to wybuch zupełnie na zimno, pokazujący, że bez ognia obejść się można.

Te doświadczenia doprowadziły do ważnego odkrycia, że siła niszcząca jakiejkolwiek materji wybuchowej zależy od środka sprowadzającego wybuch, zależy od zapalnika. Zdaje się, że wybuch słabszy lub silniejszy zapalnika daje popęd całej masie, pobudza ją także do słabszego lub silniejszego wybuchu.

Dynanit jest, jak powszechnie wiadomo, mięszaniną nitrogliceryny z piaskiem kwarcowym lub ziemią tryplową. Piasek gra tutaj rolę gąbki nasiąkniętej nitrogliceryną. Taką masę stałą daleko łatwiej przewozić i używać w danym razie, aniżeli ciało płynne jak nitrogliceryna.

Otóż wracając do poprzedniego, jeżeli dynamit zapalimy zwyczajnie, to będzie się palił bez wybuchu. Zamknięty ze wszystkich stron i podpalony, wybucha wprawdzie, ale jeszcze z siłą nie bardzo wielką, bo zaledwie przechodzącą 2 razy siłę prochu.

Dynamit zapalony gwałtownem wstrząśnieniem np. wybuchem kapiszona wywiązuje siłę pięć razy większą niż poprzednio, tj. 10 razy większą od takiej samej ilości prochu.

W ogóle rozmaite doświadczenia w tym kierunku robione doprowadziły do wniosku, że wszystkie materje wybuchające, nietylko dynamit, wybuchają dwojako: raz potężnie pod wpływem wstrząśnienia, drugi raz znacznie słabiej pod wpływem zapalenia. Proch nasz nie wybucha w zwykłym użytku dostatecznie, bo zwykłe kapiszony nie wstrząsają go dość silnie. Lecz gdy kapiszonem zapalimy najprzód trochę nitrogliceryny, a dopiero proch za jej pośrednictwem, to następuje wybuch cztery razy silniejszy.

Oto tabliczka przedstawiająca różnicę tych dwóch rodzajów wybuchania dla różnych ciał. Siłę wybuchającą prochu przyjęto za jedność.

	Siła wybuchająca przez zwykłe zapalenie	Przez wstrząśnienie
Proch zwykły . .	1·00	4·34
Nitrogliceryna . .	4·80	10·13
Bawełna strzelnicza	3·00	6·46

Te dane wystarczają do wytłumaczenia, dla czego tak różne skutki otrzymywano jednym i tym samym nabojem dynamitu. Oto, uderzenie było niekiedy za słabe, i dziś robią w kapiszonach grubszą pokrywę, przez co uderzenie masy piorunującej staje się gwałtowniejszem.

Środek otaczający masę eksplodującą, może

*

także mieć wpływ na jej siłę wybuchową. Abel zauważył, że jeżeli bawełnę strzelniczą (jest to substancja, którą się otrzymuje tak samo, jak nitroglicerynę, przez zanurzenie bawełny w mięszaninie kwasu azotowego i siarkowego) ścieśnioną i zanurzoną w wodzie zapalimy, to wybucha ono daleko silniej, aniżeli w zetknięciu z powietrzem.

(Dok. nast.)

Piśmiennictwo zagraniczne.

(*Dr. Richard Roepell Polen um die Mitte des XVIII Jahrhunderts, Gotha 1876.* — *Ciąg dalszy.*)

Znane są wypadki, które zawichrzyły krajem, gdy August III z obcą pomocą na tron polski wstępował. Z tej zawieruchy zdarzeń wystąpiło na plan pierwszy kilka postaci złączonych węzłami pokrewieństwa, a znanych w historji pod ogólną nazwą „familji“. Byli to Czartoryscy i ich rodzinne koło, którym udało się zająć najbliższe stopnie tronu. Roepell, może nie zawsze dość wiernemi ale charakterystycznemi rysami kreśli wizerunki głównych przedstawicieli „familji“. Na jej czele, a zarazem na czele partji dworskiej, sympatyzującej z Rossją, stali dwaj bracia Czartoryscy — Michał i August. Mimo odmienności charakteru — mówi autor — posiadali oni podobne uzdolnienie, którem przewyższali nietylko ciemny i przesądny tłum szlachty, ale i równych pozycją współczesników. Od młodości nawykli nie jak ci do używania i marnotrawstwa, lecz do pracy i oszczędności, utrzymywali swoje finanse w porządku i pomnażali dobra, podczas gdy większość innych „panów“ przy całem swem bogactwie grzęzła w długach. Szczególniej młodszy brat, August, wojewoda ruski był wybornym gospodarzem. Nieustanie i umiejętnie kierował obszernemi, przez małżeństwo nabytemi dobrami tak, że podobno spłacił przeszło miljon dukatów ciężącego na nich długu, i jeszcze podwoił dochody. To właśnie dawało mu zawsze środki do przeprowadzenia politycznych planów; dla nich miał zawsze otwartą kasę, gdyż „nie był niewolnikiem lecz panem pieniędzy.“ Z drugiej znowu strony obaj żyli i występowali po pańsku, ile razy zaszła tego potrzeba. Sprężyną ich polityki było ściąganie do siebie młodych utalentowanych ludzi, łożenie na ich edukację i popieranie w karjerze. I w tym względzie wojewoda był szczególnie zdolnym. Bystrem okiem odgadywał ludzi, umiał oceniać ich charakter, przymioty i wady, delikatnie pochlebiać miłości własnej, pozyskiwać serca i umysły młodzieży. Chociaż zamknięty w sobie, milczący i w zachowaniu się pański, roztaczał na około siebie pewien urok. Umiał w przyciągający sposób — dawać. W gruncie była to natura zimna, w której rozum uczucia przeważał. We wszystkiem, bo nawet we wspaniałomyślności miał na oku swój własny cel, ale potrafił tak go zasłonić, że zwykle był proszony o to, czego sobie najwięcej życzył. Przezorność, jaką zachowywał w swych mowach, głęboki rozum, który wszystkiemi jego krokami kierował, jego szlachetny i trzeźwy sposób wyrażania się, talent usuwania nawet cieniów wątpliwości w prawdę jego słów, wszystko to łudziło świat. Powszechnie uchodził za wzór mądrości, prawego i łagodnego charakteru, za człowieka stojącego po nad słabostkami i namiętnościami tłumu. Co więcej, umiał nawet pokonywać nieprzyjaciół familji, że osobiście zasługiwał na wyjątkowe uwzględnienie. Ztąd też wszystko co najbardziej obrażało i raniło przeciwników, przypisywano jego starszemu bratu, gdy tymczasem w tej familji on głównie reprezentował zasadę panowania i korzyści własnej, ile razy sądził, że może coś przeprowadzić, nie ukazując ręki, która cios zadawała.

Zupełnie innym był kanclerz. Z natury serdeczny i wesół, dowcipny i towarzyski, lubiał wypowiadać swoje myśli bez żadnych osłonek. W szkole starego feldmarszałka Flemminga, który go wprowadził do publicznego życia i cenił swobodny dowcip, ostrą, ironję i kąsający sarkazm, nawykł od młodości pozwalać sobie; a ponieważ wszyscy wiedzieli, jak wielki miał wpływ na Flemminga, znoszono więc te jego nawyknienia. Zostawszy samodzielnym zachował je. Uważał niemal za swoje prawo, każdemu, nawet tym, którym dobrze życzył lub czynił, mówić bezwzględną prawdę, bądź nieubarwioną, bądź szyderską lub ironiczną. Naturalnie przez to wielu silnie obraził, lecz w ogóle tolerowano ten jego sposób postępowania, a wreszcie widziano w nim uosobienie katonowskiej cnoty, zwłaszcza, że do swego stanowiska i urzędu był wysoce uzdolnionym. Nikt go nie przewyższał w znajomości cywilnego i państwowego prawa polskiego; z wielką cierpliwością słuchał stronnictw, a sąd jego był zawsze bystry i trafny. Przy obsadzaniu trybunałów, urzędów i starostw umiał wyszukiwać najzdatniejszych ludzi i o ile mógł wpływać na ich wybranie. Mało przytem zwracał uwagi na ród i często powoływał takich, którzy przez swe urodzenie lub stosunki należeli do przeciwnej partji. Wprawdzie był on na tyle przezornym, ażeby ich ilość nie przeszkadzała jego planom, zawsze jednak zyskiwał sobie sławę bezstronności i pomnażał liczbę swych sprzymierzeńców. W ogóle jak gdyby się urodził na przewodnika partji. Nie cofał się przed żadnym, ani fizycznym ani duchowym wysiłkiem, i szedł z niezłomną wytrwałością do swych celów. Dopóki go wiek i niepowodzenia w sile nie osłabiły, nigdy nie tracił nadziei powodzenia i nawet wtedy, gdy mu się nieszczęściło, widział rzeczy tylko z dobrej strony i jej się trzymał. Nikt lepiej od niego nie umiał obchodzić się ze szlachtą na sejmikach. Wesołością, dowcipem, otwartością i wymową porywał tłum za sobą. Przytem znał jak żaden inny nietylko imiona, ale przydomki mnóstwa szlachty, a jako bystry znawca ludzi, wiedział w oka mgnieniu z jakiej strony można każdego ująć i pozyskać.

Widzimy więc, że bracia wybornie się dopełniali. Obu wspólnem było poczucie swej osoby, które przerodziło się w dumę, a u starszego nawet w jego piętę achillesową — w próżność. Z żywą i zarazem czynną ambicją dążyli ciągle do władzy i wpływu, założywszy sobie ostatecznie zdobyć dla swego domu koronę. Nie było to samo w sobie nic zdrożnego. Przecież każdemu polskiemu szlachcicowi powtarzano od dzieciństwa, że kiedyś może być królem, że elekcja jest największem palladium narodowej wolności!

Całe pokolenie innych wielkich familij stało pod względem umysłu, talentu, wiedzy i możności, politycznego i obyczajowego ukształcenia daleko od nich niżej. Podczas gdy Potoccy lub Radziwiłłowie przedewszystkiem myśleli tylko o swoich osobistych interesach, Czartoryscy łączyli ze swoją korzyścią korzyść kraju, którego szkody i ułomności uleczyć pragnęli radykalną reformą. Kto spojrzy na ich całe życie i działalność, nie może powiedzieć, że pożądali władzy jedynie dla władzy. W tem położeniu rzeczy jakie wtedy w Polsce istniało, na tem stanowisku jakie ich rodzina w Rzeczypospolitej zajmowała, mieli rzeczywiście do wyboru tylko być młotem lub kowadłem. Można im poczytać za winę, że woleli być pierwszym niż drugiem? że weszli na tę drogę i chwycili się tych środków, bez których przy charakterze, sposobie życia i myślenia swego narodu nie zdołaliby na niego oddziaływać a swych przeciwników pokonać? Zapewnie i to jest prawdą, że na podobieństwo innych nie gardzili w walce siłą i przekupstwem, że utrzymywali w swej służbie najbardziej osławionych i bijackich awanturników, tak zwanych Wołczyńskich wilków, i ile razy uważali to za konieczne zrywali sejmy i sejmiki, gwałtem wstrzymywali trybunały i sprzymierzali się z Rossją. Nie oni jednak pierwsi przywołali Rossjan do Polski. Zanim się do nich przyłączyli, przekonali się po dwakroć (1717) i (1733), że w Polsce nic nie da się trwale przeprowadzić przeciw woli Rossji. Zresztą spłacali dług swojej epoce i narodowi, jako ludzie należący do tej epoki i tego narodu. Za to, co zgrzeszyli i w czem pobłądzili, odpokutowali ciężko. Po długiem życiu pełnem trudów, walk i pracy ujrzeli w późnym wieku swe dzieło rozbite a nadzieję odrodzenia się ojczyzny odsuniętą w dal okiem niedościgniona.

Tak charakteryzuje Czartoryskich Roepell, czerpiąc, głównie rysy i barwy z pamiętników Stanisława Poniatowskiego. Pomijając wątpliwe szczegóły tego obrazu, uderza nas w nim przedewszystkiem pewne łaskawe uprzedzenie, pewna wyrozumiałość autora dla tych magnatów, dla „familji“. Powtórzył się tu tenże sam fakt, który zaobserwować możemy u wszystkich historyków opracowywujących nasze dzieje ostatniego wieku. Okres politycznego upadku Polski tak poplamił wszystkie magnackie postacie, że myśl badacza stęskniona i daremnie szukająca jakiegoś czystszego charakteru, mimowolnie daje się unieść każdemu jaśniejszemu rysowi, a wybrawszy z pomiędzy dusz poczernionych hańbą najmniej zbrukane, przelewa na nie całą tę sympatję, którą dla zupełnie czystej przygotowała. Na tem wygrywa zawsze „familja“ Czartoryskich w panowaniu Augusta III, chociaż żadna historjozoficzna sofistyka, żadne adwokactwo, żadna pobłażliwość nie zdoła jej z plam obmyć. Tak jak wszyscy utytułowani rozbójnicy i oszuści tej epoki, Czartoryscy chwytali się środków, które nie z naszego ale współczesnego stanowiska sądzone wycisnęły na ich imieniu i pamięci krzywdzące piętno. Argument, że oni chcieli pogodzić swój interes z interesem narodu, nie jest żadną dla nich obroną, gdyż ostatecznie wszyscy inni współzawodniczący z nimi w dobijaniu się o władzę, identyfikowali również własną sprawę z powszechną. Różnica więc mogła zachodzić tylko w drodze do tego celu i środkach, a w tych jak wiadomo, jedni drugim byli pokrewni. Jeżli nadto wciągniemy w rachubę późniejsze skutki zachowania się stronnictw, to dla Czartoryskich winnych przewagi jaką w Polsce zyskała Rossja, wypadnie bardzo niepomyślny rezultat. Naszem więc zdaniem nie należy ich nigdy przeceniać. Z drugiej jednakże strony nie można ich sądzić zbyt surowo. W ogólności historyk winien być z zasadą zarówno pochwał jak i potępień bardzo ostrożny. Pisząc dzieje zwykliśmy się wpatrywać tylko w postacie naczelne i tracić z oka tło, od którego one jako najwydatniejsze figury odstają. Nie dość szukać źródeł zepsucia w charakterze

jednostek, trzeba je odkryć i poznać w charakterze narodu. Wystąpienie pewnej grupy natur przegniłych nie może być przypadkowem, zupełnie nieharmonizującem ze zdrową naturą ogółu, lecz musi w nim mieć swoje główne przyczyny. Przyczyny te w epoce naszego upadku ujawniają się dosyć wyraźnie. Kto uważnie i obszernie zbada np. dzieje grodzieńskiego sejmu, ten z łatwością dostrzeże, jak dalece moralne zepsucie było powszechnem.

Zastanawiając się nad zdumiewającem przekupstwem, jakiego używali ajenci rossyjscy w przeciąganiu posłów na swoją stronę, pamiętamy tylko o niegodziwości ajentów, a zapominamy zupełnie o tem, że naród dla którego przedstawicieli Katarzyna mogła wyasygnować pewną sumę pieniędzy i większą ich część przekupić, musiał być moralnie upadłym. Czytając współczesne pamiętniki, opisujące jak ochoczo bawiono się w Grodnie na balach prawie sąsiadujących z gmachem, gdzie kraj najezdca płatał, trudno dać wiarę obrazom takiej lekkomyślności i takiego patrjotycznego bezczucia. Wyraźne tego zarody widzimy już za Augusta III. Nie dość więc powiedzieć że Radziwiłłowie lub Potoccy podminowywali kraj samolubnemi intrygami, trzeba jeszcze dodać, że ów kraj to znosił i do tego pomagał. Chociaż wielkie mogą być i są rzeczywiście zbrodnie magnatów, nie można na nich składać całej winy, ale musimy nią cały naród obdzielić. Ażeby w ciele utworzył się rak musi naprzód to ciało uledz rozkładowi. W zdrowym pniu robaki się nie lęgną... Żaden Potocki, żaden Kossakowski nie wyrósłby i nie zgubił kraju za Zygmunta lub Batorego. Tak dobrze umiemy już na pamięć wstrętne przewinienia wszystkich magnatów, a tak niedostatecznie one nam nieszczęsny obrót wypadków tłumaczą, że już raz dla ciekawości i prawdy należałoby rozpocząć historyczne śledztwo nie w życiu jednostek lecz całego narodu. Roeppel ogarnia go w swej pracy rzeczywiście, jego wszakże spojrzenia i obserwacje są tak przelotne, że zwykle uczy nas odkryć znanych. Znać że dzieje te pisze cudzoziemiec dla cudzoziemców, dla których one są bardziej niż dla nas obce i którzy niechętnie wchodziliby za autorem w szczegóły. Tymczasem my się za nim dalej udajmy, dla przekonania się dokąd nas doprowadzi.

Gdyby Augusta III trzeba było określić jednym wyrazem można by go nazwać leniwcem. Przyszedłszy na świat zasnął i nic przez całe życie nie zdołało go obudzić. Fryderyk Wielki opowiada ciekawą z nim konferencję. Raz w Dreznie namawiał go, ażeby wojska saskie w połączeniu z pruskiemi wpadły do Morawji i zdobyły ją dla Saksonji. Na wszelkie propozycje August z wyrazem znudzenia na twarzy odpowiadał tylko: tak. Obecny przytem Brühl, któremu ta scena dokuczyła, przerwał układy uwagą, że opera się zaczyna. „Chociażby król Polski — powiada Fryderyk — mógł był opanować dziesięć królestw, to nie wstrzymałoby go ani jednej chwili. Poszedł—na operę.“ Że taki monarcha musiał się w rządach wyręczać — rzecz naturalna. Głównym jego pełnomocnikiem był Brühl, człowiek, który według ustaw krajowych jako cudzoziemiec nie miał prawa do żadnego urzędu. Minister ten zyskał sobie u współczesnych i potomnych sławę zręcznego polityka. W rzeczywistości jednak była to zdolność bardzo małej miary — dyplomatyczny kramarz, który umiał operować tylko bardzo drobnemi i zużytnemi środkami w zakresie swego własnego interesu. Szerszych widoków myśl jego nigdy nie obejmowała i potrzeba było malutkiego króla ażeby on mógł wydawać się wielkim jego ministrem. Kłócił się z zagranicą i ssał polski kraj dla siebie — taki był jego program i tryumfy. (C. d. n.)

TEATR.

O niedzielnych popołudniowych przedstawieniach.

O tej innowacji w teatrze naszym, która jak nowość każda, a nadto pożyteczna ze wszech miar, znalazła ogólne uznanie, mieli czytelnicy nasi pobieżną tylko w *Tygodniu* wzmiankę. Powołując się na nią, nie będziemy się długo rozwodzili, jak dalece ten pomysł przedstawień popołudniowych jest szczęśliwym a korzystnym, tak dla dyrekcji teatru, jak dla najszerszej publiczności. Korzyści tu dla stron obu aż nadto widoczne. Przy kasie zawsze natłok niezmierny, a amfiteatr literalnie przepełniony widzami; dyrekcja prezentuje młode siły publiczności, i pewna jej pobłażania, ze spokojem studjuje, ile ten Davison lub owa Ristori *in spe* posiada rzeczywistego talentu dramatycznego, co więcej, czy talent ten znajduje sympatję publiczności, — czynik przecie do powodzenia artysty niezbędny. Publiczność zaś, ma doskonałą sposobność przepędzenia dwu godzin poobjednich, i miłą rozrywkę za nader tanie pieniądze, bo jak wiadomo, bilety wstępu więcej jak o połowę ceny zniżone. Szczególniej dla dziatwy i biedniejszej młodzieży rękodzielniczej zabawa wyśmienita, czego dowodem często odzywające się głosy dziecięce i huczne aplauzy galerji i parteru, pochodzące widocznie z młodych piersi, a dobrze zapracowanych więc silnych dłoni.

Reżyserem tych produkcyj nowicjuszowskich jest p. Zboiński, i jemu główine zawdzięczać powinni: młodzi adepci Melpomeny swoje postępy rychłe na poczętej dopiero drodze artystycznej; publiczność zaś uczęszczająca gromadnie na te widowiska, że się zawsze ubawi doskonale, i prawie zapomina, iż to bawią ją ci młodzi, a nie wypróbowani już w zapasach scenicznych artyści.

Wybór lekkich komedyjek przedstawianych, z małym wyjątkiem jest bardzo trafny. Z wyjątkiem, powtarzamy, bo pozwolimy sobie zrobić, komu należy, uwagę, iż takie rymowane utwory Fredry (ojca), jak „Odludki i poeta,“ „Zrzędność i przekora,“ nie koniecznie są stosowne dla początkujących artystów. Nie mają one wybitnej akcji dramatycznej, a główną zaletą ich produkcji może być tylko znakomita deklamacja, której przecie od początkujących żądać nie mamy prawa. Sprawiedliwość jednak wyznać każe, że nawet w tej mierze nadspodziewanie dobre widzieliśmy rezultaty.

Jak dotychczas, zprezentowała nam dyrekcja personal następujący: z kobiet panie: Kwiecińskę, Skalskę i Guerard. Z mężczyzn pp: Skalskiego, Sachorowskiego, Dworskiego, Nowickiego, Gostyńskiego, a ostatnim razem pp. Czarneckiego i Urbańskiego. Zastęp to, jak na początek, wcale poważny. Pozwolą czytelnicy, że po krótce streścimy wrażenie, które wynieśliśmy z odbytych dotychczas przedstawień, nie wdając się w szczegółowy rozbiór grywanych sztuczek.

Pani Kwiecińska posiada wszystkie warunki na dobrą i pożyteczną artystkę. Powierzchowność sympatyczna, głos dźwięczny, ruchy swobodne, co więcej nieoczekiwany nawet spokój na scenie i pewność siebie, zalecają ją nader korzystnie, i kwalifikują już dziś do ról szerszego zakroju. Przy dalszej pracy wytrwałej wróżyć można p. Kw. bardzo świetną przyszłość artystyczną.

P. Skalskę widywaliśmy często, w chórach operowych, z pośrodka których widocznie usiłowała zwrócić na siebie uwagę przed innemi. Pani Sk. posiada głosik miły i giętki, dobrze nadający się już obecnie do lżejszych operetek; gdy się on wyrówna i nabierze pewnego woluminu w wyższych tonach, przysporzy dyrekcji wcale pożyteczną siłę do operetek. Dobrym to u p. Sk. objawem, że widocznie korzysta z uwag, udzielonych jej w recenzjach dziennikarskich. Z tem przekonaniem radzimy jej, by raz na zawsze porzuciła, co najmniej już niestosowne na scenie, te znaki sympatji czy antypatji, rzucane dość niezręcznie pewnym spektatorom... Oznaki podobne mile bywają widziane n. p. w jakiem *caffée chantant* paryskiem, ale na poważnej scenie, przed audytorjum złożonem z ojców i matek rodzin, w towarzystwie dziatwy starszej i młodszej, są one co najmniej niesmaczne. Te kilka słów, na pozór cierpkich, podyktowała nam obawa, by podobne niby niewinne wybryki, z czasem nie pozbawiły rzeczywistego talentu p. Sk. sympatji publiczności, której straty z pewnością nie nagrodziłyby jej chwilowe może sympatje pewnych spektatorów.

Ile wnosić można z dwu występów pani Guerard, posiadającej i powierzchność ładną i głos dźwięczny, może być z niej z czasem artystka doskonała. Uważaliśmy, że p. G. wystudjowała była swoją krótką rolę w drugim swoim występie (Takie one wszystkie). Wprawdzie wystudjowała ją błędnie, przesadzając w tragiczności nienaturalnej, ale zawsze to zdradza, że młoda artystka pragnęła przejąć się rolą i pracowała w tym kierunku. Gdyby tylko zechciała rychło odzwyczaić się od upartego wpatrywania się w posadzkę lub sufit teatralny, a nadała przytem ramionom swobody więcej i okrągłych poruszeń, nie zaś trzymała je tak sztywnie przy sobie — to pewni jesteśmy że przy pracy, pod umiejętnem kierownictwem, szybkim krokiem zdążać będzie do znakomitego artyzmu.

Pan Skalski, występujący już długo przedtem w pomniejszych rolach, odbija korzystnie wobec towarzyszy swoich dobrą rutyną sceniczną. W rolach zwykłych żydków rozmaitego rodzaju, gra znakomicie i charakteryzuje się z fotograficzną rzec możemy podobizną. Trzeba mu przyznać prawdziwy talent do komiki drugorzędnej, a nawet na deskach prowincjonalnego teatru, pewni jesteśmy, zbierałby podobne laury, jakie p. Fiszer zbiera zawsze od publiczności lwowskiej.

Pan Sachorowski posiada nad spodziewanie wszelkie dobrą rutynę i znajomość sceny. Powierzone role oddaje sumiennie pod każdym względem, i kto wie, czy maluczko a nie ujrzymy go z powodzeniem występującego przed publicznością wieczornych spektaklów.

I p. Dworski nie pierwszy raz prezentuje się widzom. Ma warunków i chęci dobrych dostateczną dozę; przy pracy i korzystaniu z wzorów, jakie mu nastręczają przedstawienia wieczorne, spodziewajmy się, iż wyrobi się na dobrego reproduktora ról mu powierzanych.

O p. Nowickim — jak to powiadają, na dwoje babcia wróżyła. Wierzmy, że wywróżyła na dobre. Na razie radzilibyśmy mu, by się prościej trzymał na scenie, a nie garbił tak nieestetycznie.

Pan Gostyński ma inteligentną powierzchowność, głos pełny, męski, byle w przyszłości miarkował go należycie, — a zresztą? Reszta zawisła od wytrwałej a żmudnej pracy.

Na ostatniem przedstawieniu widzieliśmy po raz pierwszy pp. Urbańskiego i Czarneckiego. Pierwszy wywiązał się wcale dobrze z pociesznej roli wieśniaka Gottlieba w operetce „Joasia płacze, Jaś się śmieje,“ i dał nam poznać swój głos barytonowy, dość miły, i dobry słuch muzykalny. Ile sądzić można z tego debiutu pierwszego, będzie on wcale dobrym nabytkiem dla operetki.

Pan Czarnecki wystąpił w obrazku „Zrzędność i Przekora“ w roli amanta i okazał, iż ma wiele pomyślnych warunków na przyszłego amanta scenicznego, byle tylko jak najprędzej pozbył się zwykłej u początkujących artystów myśli, iż stworzony jedynie na tragika czystej wody.

Na ostatniem przedstawieniu, w przestanku odśpiewał pan Guberski basową arję Sylwy z Ernani'ego. P. Guberski śpiewa zwykle w chórach, i głos jego widocznie wyrobiony w niskim regestrze, ma nawet dźwięk pewien metaliczny. Nie można dziś tego powiedzieć o tonach wyższych, co gdyby p. Gub. osiągnął a deklamować w śpiewie się nauczył, może być wcale dobrym *basso cantante*.

Stan. W.

Pogadanki.

IX.

Od boleśnej bardzo wiadomości przychodzi mi zacząć „Pogadankę“ dzisiejszą. Seweryn Goszczyński umarł we Lwowie, w piątek d. 25 lutego o godzinie 8. rano, w siedmdziesiątym trzecim roku pięknego swojego żywota. Mimo tak późnego wieku zgasłego wieszcza, wypadek ten dla przyjaciół, znajomych i wielbicieli jego był wcale niespodziewanym, zważywszy iż staruszek trzymał się krzepko i zdawał się być pełnym siły. Gdy się rozeszłą wiadomość o jego chorobie, mieliśmy wszyscy nadzieję, że przebieg jej będzie szczęśliwym. Tymczasem inaczej się stało, i znowu jednej z największych i najpiękniejszych naszych postaci zabrakło nam na tej ziemi. Jeżeli w obec tak smutnej katastrofy może być mowa o okolicznościach pocieszających, zaliczylibyśmy do nich to, iż szczęśliwszy od Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, Goszczyński zamknął oczy na rodzinnej ziemi, otoczony czcią i miłością ziomków, i jakiemikowiek przecież, drobnemi dowodami ich wdzięczności. Na rusko-polskiej ziemi ujrzał po raz pierwszy światło dzienne, i na niej też zgasło ono dla niego na zawsze, w niej spoczną jego kości. Co ukochał za życia, mieć będzie po śmierci, a grób jego i napis, który na nim położymy, będzie świadectwem panowania jego myśli nad żywymi. Żołnierz, wieszcz i tułacz przemawiać będzie do nas po wszystkie czasy rycerskiem, gorącem i rzewnem słowem, które nie da zgasnąć jego pamięci, i które królować będzie wśród ruin, aż nowy gmach kiedyś powstanie z ich gruzów.

W następnym numerze, *Tydzień* poda szczegóły dotyczące życia śp. Seweryna i jego pogrzebu, byłoby bowiem niewłaściwem, zbywać to w rubryce poświęconej pobieżnym wzmiankom o wypadkach powszednich i mniej ważnych. Tutaj należy jeszcze tylko uwaga, że nasz cmentarz Łyczakowski ma już dzisiaj, na wzór kościoła opactwa w Westminster, swój *Poets Corner*: spoczywają tam między innymi Szajnocha i Grottger, teraz zaś grób Goszczyńskiego doda uroczystej powagi temu przybytkowi umarłych. Na wszelkie tedy uznanie zasługuje okazana niedawno dbałość gminy tutejszej o to, ażeby ile możności upiększyć to miejsce, już z natury bardzo piękne. Szkoda tylko, że zdaniem znawców, nowa brama mogła była pod względem architektonicznym wypaść gustowniej. Nie wina to miasta, które nie szczędziło kosztów, ale wina pp. architektów, którzy jakoś nie mają szczęścia ze swojemi pomysłami dla budynków lwowskich.

* * *

Byłoby niesłusznem, gdybyśmy to niepowodzenie kładli na karb naszych wyłącznie ludzi fachowych. Nie wiedzie im się w całym świecie. Ktoż obliczy, ile miljonów np. kosztowała regulacja Dunaju pod Wiedniem? A ile tam znakomitości z różnych stron świata podawało plany, obliczało siłę i kierunek prądu, moc i wysokość tam i grobli! Rezultat był ten, że Dunaj najpierw nie czekając na pozwolenie pp. inżynierów wdarł się w nowe swoje łożysko, a następnie, jak gdyby wcale nie był uregulowanym, po puszczeniu lodów jak co roku utworzył zator z kry i zalał wszystkie niziny które zwykle zalewa. Dziwna rzecz, iż rzeka aż po Wiedeń zasilana wyłącznie niemieckiemi wodami. objawia taki brak ducha wiernokonstytucyjnego, i protestuje tak dobitnie przeciw panującemu systemowi. Powiedziano mu: Czesi, Morawcy, Słowiańcy Polacy i Rusini dadzą pieniądze na to, ażebyś nie zagrażał Wiedniowi. Czesi, Morawcy, Słoweńcy, Polacy i Rusini dali pieniądze, bo nie mogli ich nie dać. A Dunaj na to: *Justamentnöt!* (Otóż nie!) i wylał znowu po swojemu, jak buntownicza Wisła albo konspiratorski San wraz z Wijarem. Ile to jeszcze wody upłynie, nim wszystka będzie tak karną i potulną, jak wzorowa Sprea pod Berlinem? Nawet lwowska Pełtew od czasu do czasu wyprawia rozmaite rebelie, zapewne śni jej się wówczas, że jest republikańskim Missisipi!

* * *

Nie przeszumiało też jeszcze wzburzenie, wywałane wizytą ks. kardynała w Krakowie. Ultramontanie hałasują głównie na *Dziennik Polski*, że im naruszył ich świętość. Im mniej ich jest, tem głośniej krzyczą, każdy natęża się bowiem za dziesięciu. Ogół podziela wprawdzie bez wyjątku zdanie, że nie godziło się otaczać ks. kardynała aureolą męczeństwa narodowego, ale nie bylibyśmy Polakami, gdyby i w tej mierze nie zachodziły różne odcienia opinji. Między tymi mianowicie, którzy nie zgadzają się z liberalną prasą w jej sądzie o ks. kardynale, spostrzegać się dają trzy główne typy. Pierwszy z nich znajduje swój wyraz w *Gazecie Narodowej*. Jej zdaniem wszystko jest dobrem i chwalebnem, co irytuje Prusaków. Być to może, ale *Gazeta* zapomina, że nic nie irytowałoby Prusaków tak bardzo, jak gdyby spostrzegli, że Polacy własnej swojej idei narodowej zbyt wiele przypisują siły żywotnej, by uważali za rzecz potrzebną szukać dla niej punktu oparcia w zatargach między władzą świecką a duchowną, toczących się o rzeczy nie mające nic wspólnego z dążeniami narodowemi. Drugim typem jest „szlachcic, udający pana.“ Juści, jeżeli tylu książąt i hrabiów liczy się do obozu ultramontańskiego, to taki podhrabia musi koniecznie policzkować przy każdej sposobności zdrowy rozsądek i własne lepsze przekonanie, inaczej bowiem ludzie przypuszczaliby, że nie jest w przyjaźni, dajmy na to, ze Stasiem, i że nie bywa na herbacie u cioci Kizi, która, jak zapewnia *Szczutek*, pragnęła być tą „szmendeferą,“ po której przyjechał ks. kardynał do Krakowa. Nasz podhrabia wyrzeka tedy na *Dziennik* i na *Tydzień* najmniej siłą tylu koni, ile ich miała lokomotywa tocząca się po owej „szmendeferze,“ i wioząca purpurata. Trzecim, a może najniebezpieczniejszym typem jest obywatel, który znajduje, że zrobiono *trop de bruit pour une omelette*, i że księdzu prymasowi zrobiono zbyt wiele zaszczytu, zajmując się tak obszernie jego wizytą. Byłoby to niezmiernie opłakaną rzeczą, gdyby wobec kadzideł i demonstracyj ultraklerykalnych nie znalazło się w Polsce ani jedno pismo, mające odwagę wypowiedzenia całej prawdy. Są sprawy, które można uśmiercić milczeniem, a są inne, które wzrastają do groźnych rozmiarów, w ciszy i ukryciu. Do takich należą właśnie knowania partji ultramontańskiej. Jaka jest ich tendencja, to *Czas* i inne pisma wypowiadają zbyt otwarcie, ażeby wolno było nie wiedzieć o tem. Otóż i demonstracje na cześć ks. kardynała nie miały innego celu, jak tylko pod pozorem oddania hołdu książęciu kościoła zwerbować jak najwięcej zwolenników dla zasad, jakie np. wykłada p. Walewski, a które dadzą się streścić w słowach: „Niech Polska będzie pruską, niech będzie moskiewską, byle była katolicką.“ Przeciw zasadom tym protestować głośno przy każdej sposobności, jest obowiązkiem prasy.

* * *

Ze wszystkich stron, nędza zagląda nam w oczy. Nędza moralna z tomów pism, wyrażających teorję podporządkowania interesów narodowych pod obce, nędza materjalna z powiatów dotkniętych nieurodzajem, brakiem paszy dla bydła i w ostatnich czasach powodziami. Klęska musi być wielką, skoro już nawet rząd uznał za potrzebne pomyśleć o pomocy. Pomoc ta wszakże nie będzie dostateczną i nie przyjdzie z ręki, z której chcielibyśmy, ażeby ją lud otrzymywał w razie potrzeby, bo inaczej, nie przyzwyczai się widzieć w niej rękę przyjaźną i życzliwą. Zjazd delegatów Tow. rolniczego, odbywający się właśnie we Lwowie, rozważy zapewne tę sprawę i zajmie się nią gorliwie. Na powitanie więc i zachętę pp. delegatom, ustępuje Pogadanka miejsca wymowniejszym od niej słowom Syrokomli, napisanym przy sposobności podobnego zjazdu, i w warunkach takich jak dzisiejsze. Słowa te będą skuteczniejszemi od każdej współczesnej odezwy.

O goście szlachetni! i cześć wam i zdrowie!
W czas dobry witajcie nam w mieście!
I groszem i duchem bogaci mężowie,
Co czołem krainy jesteście!
Gdy wasze dostojne obrady i prace
Z wysoka przeżegnał Jehowa,
Otwórzcie swe serca! bo do nich kołace
Ubogi, sierota i wdowa!

Na polach, we żniwa plon chybił żniwiarza,
Złe wieści latają żałośnie;
I wioskom i miastom głód smutny zagraża,
Truchlejem, gdy wspomnim o wiośnie.
Gdy waszą troskliwość zajmuje tak szczerze
Po wioskach niedola ludowa,
Niechajże i w mieście jałmużnę odbierze
Ubogi, sierota i wdowa!

Gdy płacąc społeczne zasługi i czyny,
W szlachetne zbieracie się grona,
Gdy uczty dajecie wybrańcom krainy,
Wołając ich zacne imiona:
Niech stara gościnność, stosownie do chwili,
W słusznej się granicy zachowa!
Mniej kilku toastów — a już się posili
Ubogi, sierota i wdowa!

Tam, w domach — rodziny modlą się za wami,
By sprawy szczęśliwie się wiodły;
A cóż wam zaszkodzi, że z rodzin modłami
Ubodzy połączą swe modły?
Gdy szczodra dłoń wasza ich nędzę umniejszy,
Bóg ziści dziękczynne ich słowa,
I może wymodlą urodzaj plenniejszy
Ubogi, sierota i wdowa!

Wilno 1855 r.

Jan Lam.



SEWERYN GOSZCZYŃSKI

poeta, żołnierz, gorący patrjota i mąż cnót wzniosłych, zmarł we Lwowie dnia 25. lutego w 73 roku życia.

Cześć Jego pamięci!

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Pamiętniki Marcina Matuszewicza kasztelana brzesko-litewskiego 1714 — 1765, wydał Adolf Pawiński. Warszawa — Gebethner — 1876— Tom I — III.

Autor powyższych „Pamiętników“ dotychczas mało znany w piśmiennictwie polskiem zajmie teraz dzięki wydawcy wybitną rolę w literaturze naszej. Marcin Matuszewicz, kasztelan brzesko-litewski, tłumacz Horacjusza, mianowicie jego satyr, znakomity statysta polski, władający dziwnie pięknie językiem polskim, należy do wybitniejszych poetów epoki Stanisławowskiej, a że znał prawo narodowe więc piastował także wyższy urząd i był posłem na sejm w r. 1767. Pamiętniki będące własnością pani Marji z Józefowiczów Hlebickich Rusieckiej, której uprzejmości ten szacowny zabytek z przeszłego wieku zawdzięczamy, pisał autor w późnej starości. Sięgają one od r. 1714 — 1765. Spuścizna to nieocenionej wartości tak pod względem historycznym, jako też obyczajowo-społecznym. Właściwie dopiero od r. 1754 zaczyna się opowiadanie więcej szczegółowe. Autor spisał tu wszystkie drobiazgi swego życia ale wszystkie charakterystyczne, odsłaniające nam tajniki jego duszy, pełnej nauki i treści. Od r. 1714 do r. 1754 dał nam dzieje swego narodu. Wydawca ułożył z tego jako z całości odrębnej spory tom, dzieląc treść na piętnaście rozdziałów. Na czele każdego rozdziału umieścił dla jaśniejszego poglądu spis treści. Wydawca oglądając się także raczej na licznych czytelników niż na szczupłe grono badaczów, zmienił wszędzie pisownię rękopismu, oznaczającą się właściwością XVIII wieku na nowoczesną, przez co książka stała się dla ogółu czytających przystępniejszą, na czem jednak specjaliści naukowi mocno ucierpieli. Wyrazy i zwroty łacińskie zastąpiono polskiemi, właściwości jednak zachowano ściśle według brzmienia tekstu. Pamiętniki te treścią i formą przypominają nam historyków jak Naruszewicz i Lelewel, zdradzają bowiem głębszą naukę, bystrość poglądu i są żywo opowiedziane. Wdzięczność winniśmy wydawcy, który obdarzył nas takim upominkiem, poprzedzając go jeszcze treściwym życiorysem zgasłego męża stanu i pisarza.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Ulubiony nasz lirnik mazowiecki, Teofil Lenartowicz, nadesłał do Lwowa z Florencji, gdzie stale przebywa, ustępy z niedrukowanego poematu swego pt. „Piekielni.“ Mieliśmy sposobność czytania tych scen odderwanych, i możemy zapewnić czytelników, że natchnienie mazowieckiego barda nie zawiodło ogólnego oczekiwania. Nie zawiodło, powtarzamy, bo forma w jaką Lenartowicz przyoblekł nowy swój utwór, dotąd przynajmniej była mu zupełnie obcą. Całość poematu, w formie dramatycznej, przedstawia się majestatycznie. Są tam ustępy niepospolitej siły i tragiczności — opowiadania malownicze, charaktery — jak np. głównego bohatera dramatu Stefana — spiżowe. Ogień twórczy, natchnienie prawdziwe — tryskają z każdej sceny, z każdej niemal frazy. Nie mamy prawa uprzedzać sądu publiczności, zastrzegł to sobie autor — i słusznie. Ale niech nam wolno będzie wyrazić ogólne życzenie, aby czcigodny autor nie dał długo spoczywać w tece utworowi, którego z tak żywem zajęciem wyglądamy. O ile sąd nasz o tym nowym utworze Lenartowicza jest słusznym, przekona się najlepiej sam czytelnik *Tygodnia* z ustępu „Do córki Polki“, który w łamach dzisiejszego numeru zamieszczamy, dzięki uprzejmemu zezwoleniu autora.

— Powieść Jana Lama „Głowy do pozłoty“ wyjdzie wkrótce w drugiej edycji, ponieważ pierwsza jest już oddawna wyczerpana. „Hrabina Kosel“ J. I. Kraszewskiego wychodzi także w drugiej edycji. W ostatnich czasach tylko te dwie powieści doczekały się tak prędko dwóch wydań.

— Tom VIII dzieł Józefa Dzierzkowskiego opuścił już prasę i zawiera: Uniwersał hetmański; Na śmierć; Mara, dziewica węgierska; Tragedja i komedja; Dziwne zaręczyny; Epizod z r. 1831; Druchna. — Prenumerata była rozpisana tylko na tych ośm tomów. Chcąc by czytelnicy nasi mogli jeszcze przyjść w posiadanie dzieł Dzierzkowskiego po cenie zniżonej, zachowujemy dla nich jakiś czas dotychczasową cenę prenumeracyjną. Kto więc przyszle 9 złr. otrzyma franco wszystkie 8 tomów.

— Dnia 20go bm. odbyło się w Krakowie drugie posiedzenie komisji konkursu dramatycznego. Od 2 bm. nadeszło jeszcze nowych sztuk 19, tak, że razem jest ich teraz 33. Na drugiem tem posiedzeniu komisja odsunęła od konkursu dramat: „Bohaterowie z czasów Jana Kazimierza“, ponieważ nazwisko autora nie było opieczętowane. Taki sam los spotkał dramat „Ingelburgis“ dla tego, że jest osnutym na tle historji francuskiej, a warunki tegoroczne opiewają, że tylko utwory osnute na tle historji polskiej będą przypuszczone do konkursu. Do wspólnego czytania polecono komedje: „Trzy flory“ i „Dwojakie Gwichty“ — a odsądzono od czytania: „Krakusy“, „Wróż“, „Dramat z przeszłego wieku,“ „Opuszczona“, „Pierwszy krok,“ „Koszownica.“ Dziś odbędzie się nowe posiedzenie komisji.

— Znany nasz matematyk, dr. Żmurko, wysyła na wystawę międzynarodową przyrządów naukowych w Londynie, która zostanie otwartą dnia 4go kwietnia rb. 4 instrumenta własnego pomysłu, mianowicie: elipsograf, cykloidograf, parabolograf i hyperbolograf. Dr. Józef Żuliński wysyła także do Londynu planetarjum własnego pomysłu i własnej konstrukcji.

— Jury artystyczne, które oceniało niemieckie dzieła sztuki przeznaczone na wystawę do Filadelfji, na 130 przysłanych przedmiotów odrzuciło tylko 6.

— W paryskim teatrze Vaudeville pojawił się nowy utwor sceniczny Emila Augier, pt. „Madame Caverlet.“ Jest to rzecz napisana w duchu młodego Dumasa.

— W Pradze odbędzie się na wiosnę rb. wystawa dzienników. Dotąd zgłosiło się już ze swemi okazami przeszło 2000 wydawców.

— Monachijska wystawa dzieł sztuki i przemysłu zapowiedziana na r. 1876 przybierze niespodziewane rozmiary. Wszyscy książęta niemieccy przyrzekli przysłać dzieła tak starożytne, jak nowoczesne, a nawet sławne drezdeńskie „Grünes Gewölbe“ otwiera bramy aby swojemi skarbami zasilić wystawę. Zapowiadają także skarby różnych kapituł i klasztorów.

Podróże, odkrycia i komunikacje.

— O misji Liwingstona, która przez kilku bogatych kupców angielskich została założona w środku Afryki nad jeziorem Nyassa, przyszły wiadomości do Capstadt. Statek parowy, który misjonarze z sobą wzięli, dostał się szczęśliwie do jeziora i oddaje wielkie usługi. Podczas przeprawy przez kataraktę Murchison, musiano użyć do przeniesienia okrętu 700 ludzi. Mapunda, najznakomitszy szejk plemion mieszkających na południowych brzegach jeziora, okazał się przyjaznym a za jego przykładem poszły plemiona mieszkające nad rzeką Sire. Misjonarze są zdrowi— a kraj cały teraz spokojny.

— Według dalszych wiadomości z Olimpji znaleziono nareszcie cały posąg Nike, składający się z pięciu bloków. Z odkopanego bożka rzek, głowa jest rzadkiej piękności, z wyrazem twarzy nader łagodnym i doskonale zachowana w najdrobniejszych szczegółach. Znaleziono także olbrzymią figurę kobiecą, w stylu starożytnym, odpowiadającą najzupełniej sławnej Weście Giustiniani, tylko nierównie żywiej i piękniej wykończoną.

— Gazeta „Sybir“ pisze, że uczestnicy ekspedycji chińskiej, na czele której znajdował się pułkownik Sosnowski, przywieźli ze sobą niezmiernie wiele bardzo ciekawych przedmiotów, a między innemi godną uwagi mapę Chin, w rozmiarach odpowiadających na jeden cal pięciu wiorstom. Cała ta ogromna mapa stanowi gruby atlas, w którym na pojedynczych pasach mieszczą się całe Chiny, podzielone na strefy według szerokości geograficznej. Każdy taki jeden pas, odpowiada pewnej strefie i przedstawia ją w kierunku od zachodu na wschód. Ciekawa ta mapa nabytą została dla Towarzystwa geograficznego.

— Jeneralny dyrektor poczt i telegrafów tureckich, Jawer Pasza, wypracował z pomocą pana Scudamore, rzeczoznawcy przysłanego do Konstantynopola od angielskiego rządu, projekt codziennej komunikacji pocztowej między Konstantynopolem a Wiedniem. Oto szczegóły projektu: Umyślny pociąg pocztowy wychodzi codzień o godz. 5 wieczór z Konstantynopola: w 12 godzinach staje w Adrianopolu. w 4 w Jamboli, ztąd w $14^1/_2$ (poczta idzie konnymi kurjerami tatarskimi do Szeitandjik) dalej koleją w $3^1/_2$ godz. do Ruszczuku, w 1 godz. (okrętem) do Giurgewa, w 3 godz. 20 minut (koleją) do Bukaresztu, po 45 godz. 43 minut staje we Wiedniu — zatem całą przestrzeń przebywać ma tylko w 84 godzinach.

Przemysł.

— Roczny wyrób rękawiczek we Francji z rozmaitych gatunków skór szacują na 2.500000 tuzinów par. Przeciętna cena tuzina wynosi 35 — 40 franków zatem ogólna wartość produkcji przedstawia poważną cyfrę 100 miljonów franków. Trzy części gotowego towaru wysyłają za granicę, a czwarta zostaje w kraju. Wyrób w tej jednej gałęzi przemysłu zatrudnia 90.000 osób! Używają między innemi psiej skóry a nawet ze szczurów. Ostatnie są poszukiwane dla swej delikatności i miękkości.

Publiczne bezpieczeństwo.

— Szereg nader ciekawych dat o publicznem bezpieczeństwie w Italji, o brygantyzmie i zakładach karnych, zawiera budżet włoskiego ministra spraw wewnętrznych. Wszystkie wydatki jego wynoszą w tym roku około 60 miljonów lir, z tego prawie 10 milj. idą na etat bezpieczeństwa publicznego, a 31 miljonów na zakłady karne. Rząd utrzymuje 1542 oficerów policyjnych i 12 kwestorów, z ostatnich każdy pobiera 5.000 lir rocznej pensji. Co dotyczy brygantyzmu w południowych Włoszech i na Sycylji, rzecz się z nim ma obecnie, jak następuje: W Kalabrji dwaj bryganci Filippo Gordini i Francesco Esposito Paonessa w połączeniu z Salinarpim i Tignanellim niedobitkami bandy Lepianego, i kilkoma zbiegłymi zbrodniarzami, sieją postrach po całem Kozentyńskiem; w prowincjach Salerno i Basilicata uwijają się czterej nadzwyczaj zuchwali rabusie, pozostali z bandy Capuccinoa; w Sycylji rozpruszyło się sześciu towarzyszy Franceska Capraro, a władze żadną miarą nie mogą wytropić ich kryjówek; pomiędzy Caccamo a Termini gospodaruje rewolwerem i sztyletem Antonino Leone w dobranem towarzystwie kilku wiernych przyjaciół; między San Mauro a Gangi utrzymuje się wciąż jeszcze sprytna banda z czterech hultajów z Rinaldim na czele; koło Messyny przebywa stale brygant Cuccinota, a w końcu, w prowincji Trapani operuje bez przestanku Giuseppe Nobili z kilkoma towarzyszami. Na ściąganie tych kilkudziesięciu hultajów wstawiono w budżet sumkę 170.000 lir, a jak długo policja ich nie wyłowi, każdy kosztuje z kasy państwa 6 — 8 tysięcy lir rocznie. Liczba uwięzionych dochodzi 85.500 z tych około 39.872 znajduje się w śledztwie. Otóż utrzymanie takich 85.000 indywiduów kosztuje olbrzymią sumę 31 miljonów lir!

Wojskowość.

— Flota austryjacka otrzyma nowy port wojenny, którym na wodach dalmatyńskich ma być zatoka Sabenico, na ten cel bardzo odpowiednia.

ROZMAITOŚCI.

— W jednem z pism niemieckich, znany i świetny malarz stosunków amerykańskich Feliks Lilla, opowiada interesujący ustęp o aresztowaniu mordercy. Ustęp ten dla jego silnie charakterystycznych rysów powtarzamy tutaj. „Było to w dżdżysty dzień wrześniowy. Parowiec kursujący po Missisipi przybył do Memphis i wysadził na ląd pewną liczbę podróżnych. Pomiędzy nimi znajdował się człowiek podeszłego już wieku, który rozkazawszy zanieść za sobą swoje pakunki, wszedł do hotelu właśnie w chwili, gdy wrzaskliwy dzwonek zwoływał wszystkich gości do sali jadalnej. Sto drzwi otwarło się w jednej chwili z trzaskiem po korytarzach i schodach, zaroiło się ludzie spieszący do stołu na łeb na szyję, znanym amerykańskim obyczajem, wedle którego nawet przy jedzeniu nikt nie ogląda się na zasadę „festina lente“ ale jakoby o zakład, jeden przez drugiego stara się co prędzej przełknąć strawne i niestrawne przysmaki amerykańskiej kuchni. Nikt się nie troszczy o sąsiada, chyba wzywając jego pośrednictwa w dostaniu się do solniczki lub pieprzniczki stojącej w oddaleniu. Cała ta zwierzęca ope-

racja trwa najwyżej kwadrans i dla spostrzegacza ma w sobie coś przerażającego. Nie dziwno tedy, że uwagę wszystkich obecnych zwróciła kłótnia wszczęta z początku zaraz objadu między dwoma obecnymi. Świeżo przybyły podeszły i poważnie wyglądający jegomość wpatrywał się od chwili zajęcia miejsc przy stole w sąsiada vis à vis, młodzieńca wysokiego nie nader przyjemnej powierzchowności, pomimo eleganckiego stroju. Obserwowany młodzieniec udawał, że nic nie spostrzega, ale małe jego ruchawe oczki zdradzały rodzaj niepokoju. Wreszcie podeszły jegomość wybuchnął: — A! Panie Webb — zawołał hamując się z trudnością — co za niespodziane spotkanie! Muszę panu oznajmić, że go w St. Louis z niecierpliwością oczekują. — „Mylisz się pan co do osoby" odparł zagadnięty młodzieniec chłodno. bezczelnie mierząc wzrokiem pytającego. „Ja mam być Webb? Co to jest Webb? Ha! ha! Chodź no tu, Sam!"— Jeden z usługujących murzynów przybliżył się.—„Jak ja się nazywam" spytał młodzieniec. — Massa (pan) nazywa się Massa Newmann! — odrzekł murzyn, wykrzywiając twarz uśmiechem. „Na Jinga, tak i mnie się zdaje!" — wybuchnął wysoki młodzian — nazywam się Newmann, mieszkam w tym hotelu od miesiąca i każdy zna mnie jako Newmanna! —I spluwając z lekceważeniem, dodał: „Webb, Webb? Co to jest Webb?... Dalibóg, nie wiem co to jest Webb?"— Jeżeli pan nie wiesz, to ci powiem, — zawołał stary dżentelmen żywo. — Webb jest to największy łotr i oszust ze wszystkich, których dotąd jeszcze nie powieszono. I mogę panu zaręczyć że podobny do ciebie jak dwie krople wody! — „Dżentelmenowie! — zawołał młody człowiek, zrywając się z miejsca, wzywam was wszystkich na świadków, że nie mam bynajmniej miny łotra i oszusta!" — Chwilowe zamięszanie powstało przy stole; jedni chcieli mówić, inny cofali się ruszając ramionami, gdy nagle od niższego końca stołu dało się słyszeć: „Proszę!" — w tak rozkazującym tonie, że szmer ucichł. „Proszę, — powtórzył ten sam głos — i coż zrobił ten p. Webb?" — Podeszły dżentelmen spojrzał na pytającego i ujrzał przed sobą szeroko-barczystą, brodatą, silną postać, ubraną z prostotą, o siwych oczach i rysach bronzowo spokojnych, objawiających nieugięty charakter. Snać ten pozór natchnął go zaufaniem, bo odrzekł grzecznie: — „Ser, p. Jonathan Webb, otruł w przeszłym roku w St. Louis kupca Willistona, bliskiego krewnego swego i dobroczyńcę, dla obrabowania go. Udało mu się to i to tak dobrze, że odkryto zbrodnię dopiero aż po ucieczce jego z łupem. Wdowa i dzieci ofiary giną w St. Louis z nędzy. Ja sam straciłem w tej sprawie kilka tysięcy dolarów, deponowanych u Willistona." — A jak godne nazwisko pańskie — spytał dżentelmen z końca stołu. — „Robert Ellis z domu Ellis i Morton dobrze znanej firmy w St. Louis." — I ja ją znam z opinji, odrzekł pytający. Czy zostaniesz pan dłużej tu w Memphis? — „Nie. Po załatwieniu kilku drobnych interesów odjeżdżam jutro rano do Nowego Orleanu." —Dobrze, to wystarczy. Twierdzisz pan tedy, że pan tu obecny i mieniący się Newmann'em właściwie się nazywa Webbem i że on to obrzydliwą ową zbrodnią w St. Louis popełnił? „Mógłbym przysiądz na to, Ser — odparł podeszły dżentelmen. Miałem ja z tym Webbem dosyć do czynienia w swoim czasie: mogłem go więc dobrze poznać. Ponieważ jednak ten pan z taką siłą zaprzecza..." — To odstępujesz pan od swego twierdzenia? — Hm! hm! mruknął Ellis. — Ale — rzekł głośniej — kto pan jesteś, co się mnie tak wypytujesz? — I jabym chciał wiedzieć to samo — wrzasnął wysoki młodzian z małemi oczkami niespokojnie się rzucając na miejscu. — Do djabła, zkąd temu staremu głupcowi prawo nazywania mnie Webbem i oskarżania o zbrodnię. A jak znowu ten drugi jegomość z brodą ośmiela się choć przez chwilę to podejrzenie przypuszczać! — Milcz Ser, — zawołał brodacz rozkazująco. Co cię obchodzi, ktom ja zacz? Dowiesz się o tem skoro się tylko wyjaśni, czyś jest Newmann czy Webb z St. Louis. Co innego p. Ellis. Ten musi wiedzieć zaraz, kto jestem. — I zbliżywszy się do podeszłego dżentelmena, szepnął mu coś na ucho. Słowo to musiało magicznie uspokoić Ellisa, bo wyrzekł z uśmiechem: — „Po objedzie jestem do rozporządzenia pańskiego!"—Tajemniczy nieznajomy skinął głową i powróciwszy na swoje miejsce dzielnie zatopił zęby w zraz baraniej pieczeni. Sąsiedzi podejrzanego Newmanna odsunęli się nieco od niego. Za chwilę skończył się objad i goście lawiną rzucili się ku drzwiom. Jednym z pierwszych był Mr. Newmann. Zaledwo jednak się ruszył, gdy brodaty pan z końca stołu szepnął siedzącemu obok siebie człowiekowi: „Webster, ten łotrzyk cię nie zna. Ruszaj za nim i nie spuść mi go z oczu!"— Wezwany temi słowy człowiek, kiwnął głową i wysunął się zręcznie za Newmannem. Tymczasem brodaty jegomość wstał i udał się do pokoju p. Ellisa. — Posłuchaj pan — rzekł — wprawdzie nie mam czasu, bo sam śledzę za morderca zupełnie mi nieznanym. — Za mordercą? — Tak jest. Oto fotografja człowieka zamordowanego, któregośmy znaleźli z przestrzeloną piersią pod Nashwile, przed pięciu tygodniami może. Szukamy sprawcy tej zbrodni. — Ależ ja znam tę twarz — zawołał z przerażeniem wpatrując się w fotografję Ellis. — Znasz ją pan?!—zawołał z osłupieniem brodaty dżentelmen. — Tak, tak jest! Jest to twarz niejakiego Blounta, który był drugim komisantem u Willistona w St. Louis i kolegą Webba, i wkrótce po otruciu pryncypała i zamknięciu sklepu opuścił miasto. — Na te słowa jakby błysk natchnienia przeleciał po rysach brodatego dżentelmena. Nic nie mówiąc zadzwonił na gospodarza i zwracając się do wchodzącego rzekł:—Jestem Edward Johnson, Szeryf z Nashwill... Mam na celu odkrycie podwójnego mordercy. Proszę odpowiadać jak przed sądem. Dawno tu mieszka niejaki Newmann? — Od miesiąca — odrzekł gospodarz. — Czy pan wiesz, zkąd przybył? — Przez Peryville z Nashwille. — Dziękuję. Możesz pan odejść. — I skinąwszy ręką na Elisa rzucił się ku drzwiom. Na korytarzu stał już ajent Szeryfa Webster. „Człowiek, którego mi pan kazałeś ścigać, rzekł, zabiera się do odjazdu i w tej chwili się pakuje. Wszedł do swego mieszkania." — Tegom się spodziewał — odrzekł Szeryf — który numer? — 21, rzekł Webster. — W tej chwili przemknął koło nich służący Sam, murzyn niosąc obuwie wyczyszczone. Już chciał wejść pod Nr. 21, gdy Szeryf go wstrzymał. — Stój! — zawołał — czyje to obuwie? Massy Newmanna — odrzekł murzyn pokazując zęby. Szeryf pochwycił obuwie i jednocześnie wyjął ze swojej własnej kieszeni troskliwie wyciętą z papieru miarę stopy ludzkiej. Przez chwilę porównywał ją z podeszwą obuwia a potem podniósł oczy. Twarz miał uroczystą. — Jest to miara stopy nieznajomego mordercy z pod Nashwille, którąśmy zdjęli ze śladu na ziemi — rzekł z naciskiem. — Miara ta zgadza się z obuwiem Newmanna. — I wyjąwszy z kieszeni rewolwer, zawołał uderzając we drzwi numeru 21. „Otworzyć w imieniu prawa!" Drzwi były napół uchylone. Newmann stał obrócony tyłem do drzwi, ale na odgłos słów i ruchu wchodzących, spojrzał i pojmując odrazu, o co chodzi, rzucił się jak dziki zwierz. Pierwej jednak zanim mógł co uczynić, ajent Webster schwycił go żelazną dłonią za rękę i przy pomocy Szeryfa założył mu kajdanki. — Panie Webb, alias Newmann — zawołał wówczas Szeryf — aresztuję cię, jako winnego dwóch morderstw dokonanych na kupcu Willistonie i wspól koledze twoim komisancie Blouncie!. Aresztowany w niemej wściekłości szarpnął się, a potem podnosząc z cynizmem głowę rzekł: „No, stawka przegrana. I cóż? — Jeszcze się zrewanżujem moi panowie!" — Dla czegoś zabił Blounta? — spytał Szeryf. — Z konieczności — odrzekł ponuro więzień. — Wiedział że otrułem Willistona i groził mi. naznaczywszy rozmowę w lesie pod Nashwill, że mnie zdradzi jeśli mu nie dam 50.000 dolarów. Zbogaciłem go odrazu, bom mu dał królestwo niebieskie. I rozśmiał się chrapliwie. Ajenci odprowadzili go do więzienia. Sąd skazał go na powieszenie. Większą część skradzionych pieniędzy znaleziono przy nim jeszcze i oddano wdowie i dzieciom Willistona.

— Napoleona I. zawiadomiono pewnego dnia że znajduje się w Paryżu człowiek z rysów i postaci podobny do niego, jak dwie krople wody. Zaciekawiło to Napoleona i rozkazał wezwać do siebie swojego sobowtóra. Podobieństwo było istotnie tak zadziwiające, że Napoleon chcąc przekonać się, czy i na innych widok tego człowieka takie same zrobi wrażenie, kazał go przybrać w swój uniform i udawszy się z nim do cesarzowej, wpuścił go do salonu a sam został za drzwiami. Cesarzowa poskoczyła ku wchodzącemu z okrzykiem radości i dopiero śmiech Napoleona wywiódł ją z błędu. Na zapytanie cesarza, kim jest sobowtór odrzekł, że się nazywa Latouche i jest subjektem w sklepie towarów jedwabnych, ale że ma mało pociągu do swego zawodu. Wśród tej rozmowy postrzegł Napoleon, że jego podobizna bardzo ograniczonym odznacza się umysłem. Odprawiając go, pozwolił mu cesarz prosić o jakąś łaskę. Latouche odrzekł, że najskrytszem i najmilszem jego marzeniem było zostać porucznikiem przy ułanach. Napoleon zamianował go natychmiast i dodał z uśmiechem: „Cóż jednak powiedzą moi żołnierze gdy zobaczą dwóch Napoleonów z jedną tylko głową!" Latouche, później znany pod nazwiskiem barona de la Touche, pozostał przy armji, aż do r. 1814 i zaręczają, że Napoleon nie rzadko choć z wielką ostrożnością, przy rozmaitych okazjach wymagających tylko figurowania, kazał mu siebie zastępować. Podobieństwo zaś pomiędzy nimi było tembardziej łudzące, że Latouche nosił się zwyczajnie zupełnie tak, jak cesarz. Obok głupoty znany był także i z pychy swojej. Służbę rzadko sprawował, nie miał bowiem dosyć sprytu potemu, a żołnierze drwili sobie z niego niemiłosiernie. Nieraz gdy się pojawił, podnosili żartobliwy okrzyk: „Vive l' Empereur!" co on jednakże zawsze z zadowoleniem przyjmował. Po wywiezieniu Napoleona na Elbę, figlarze dręczyli biednego Latoucha, udając że go biorą za cesarza i że go chcą aresztować. Postępowanie to tak go przerażało, że nieraz całemi miesiącami nie wychodził z pokoju, bojąc się pojawieniem swojem wywołać rewolucję na korzyść strąconego cesarza i odpowiadać za to następnie. Umarł w 1847 jako starzec siedemdziesięcioletni, w ostatniej nędzy w szpitalu, szepcąc konającemi już usty: „Napoleon!"

— Jedną z najzgubniejszych namiętności panujących pomiędzy ludnością podzwrotnikową, jest niewątpliwie nałóg żucia trującego orzecha betelowego. Drzewa rodzące ten jadowity owoc rosną w większej części Indyj, południowej Arabji i na wszystkich wyspach należących do grupy Filipinów. Dochodzą one rzadko tylko do wysokości trzydziestu stóp, pień mają smukły i wdzięczny a w przecięciu około ośmiu cali grubości. Należą do gatunku zwanego „areca catechu;" w Indjach gdzie całe lasy betelowe napotkać można, znane są pod nazwiskiem Penang. W szóstym roku wydaje betel ze siebie mnóstwo orzechów, wielkości kurzego jaja, a barwy czarno stalowej. Owoc, jak u kokosa, mieści się w łupinie i podobny jest do muszkatełowej gałki. Po zerwaniu wydobywają jądra i rozbiwszy je na kawałki, każdy kawałek wraz z okruszyną niegaszonego wapna zawijają w liść pieprzowy. Tak przygotowany betel biorą amatorzy w usta, a bezpośrednim tego skutkiem jest krwawa barwa dziąseł i błony śluzowej wyścielającej wnętrze ust i podniebienia. W krótkim czasie gryzący sok tej rośliny przeciw któremu nie ma ratunku, przeżera zęby i tak je osłabia, że jeden za drugim wypadać zaczynają. Pomimo jednak tych straszliwych skutków, na Jawie dzisiaj jeszcze całe pola zasiewają betelem, a i to jeszcze nie wystarcza na potrzeby miejscowe i wywozowe. Co stanowi tak osobliwy urok tej trucizny? Oto jest smak gryzący, dla podniebienia którego, krajowcy do betelu niegaszonego wapna i liścia pieprzowego dodają jeszcze trochę tytoniu i tak przygotowaną prymkę uważają za największą roskosz. Kto jej raz spróbował, nigdy już nie może odwyknąć. Ofiary tej trucizny w chwili konania nawet z ust jej nie wypuszczają.

Odpowiedzi Redakcji.

K. w Cewkowie. Prosimy o zwrot tych numerów, które przez omyłkę zostały podwójnie wysłane.

M. R. Wojniłów. Do przysłanej kwoty prenumeracyjnej należy nam się jeszcze 90 cnt.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).